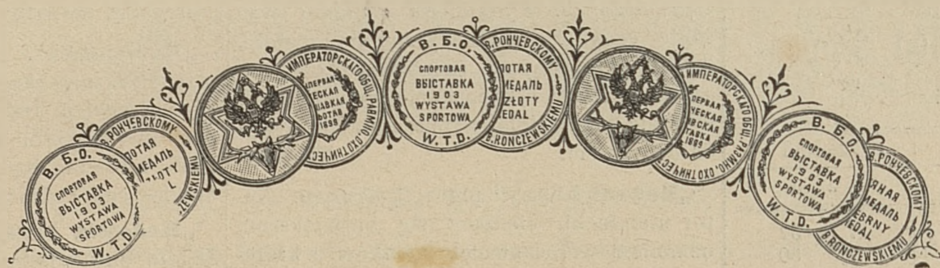
Nr. 15. Warszawa, d. 1 Sierpnia 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).



KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W sierpniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszce koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty), oraz na wszelkie ptactwo przelotne, a od 1 (14) sierpnia i na jelenie (byki), zające, głuszce, cieciorki, jarząbki (kury), kuropatwy i dropie.

Lunacya w sierpniu.

Pierw. kw. d. 5 o g. 11 rano.
Pełnia d. 12 o g. 6 wieczorem.

Wschód i Zachód Słońca

w sierpniu.

Dnia	Wschód g.	Wschód m.	Zachód g.	Zachód m.
1	4	20	7	52
2	4	21	7	50
3	4	23	7	48
4	4	24	7	47
5	4	25	7	45
6	4	27	7	43
7	4	29	7	41
8	4	31	7	39
9	4	33	7	37
10	4	34	7	35
11	4	35	7	33
12	4	37	7	31
13	4	39	7	29
14	4	40	7	28
15	4	42	7	26

DZIEŁA MYŚLIWSKIE

wydane nakładem Redakcyi „Łowca Polskiego".

„Notatki myśliwskie z Indyj" przez *Józefa hr. Potockiego.* Dzieło to, pełne najwyższego interesu dla każdego sportsmena-myśliwego, wyszło przed kilku laty nakładem autora w wydaniu ilustrowanem i tak wykwintnem, jakie tylko spotkać można wśród najdroższych wydawnictw zagranicznych. Wydanie to, pomimo wysokiej ceny, zupełnie wyczerpane zostało. Ażeby uprzystępnić szerszemu kołu naszych myśliwych zapoznanie się z cennym tekstem tego dzieła, wypuszczamy je w wydaniu taniem. **75 kop.**

„Bażant łowny" przez *C. Cronau.* Autor niemiecki, cieszący się największem uznaniem wśród swoich ziomków, a którego zdanie cenią i zagranicą, jako jednego z najlepszych znawców aklimatyzacyi i hodowli ptactwa łownego, a bażanta w szczególności,—kreśli w tem dziele monografię bażanta, jego pokrewnych gatunków, historyę hodowli bażanta, oraz wskazuje sposoby hodowli tego ptaka i zakładania bażantarni. Wykład popularny, ale gruntowny. **1 rb. 50 kop.**

„Kuropatwa szara, czyli pospolita". Monografia, napisana przez *Juliana Biesiekierskiego*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Dzieło to, z licznemi illustracyami w tekscie, traktuje wyczerpująco hodowlę i ochronę tego ptaka, który jest stałym mieszkańcem pól naszych i jako taki, winien być dokładnie przez naszych myśliwych poznany. **80 kop.**

„Myślistwo z ogary" przez *Jana hr. Ostroroga*, wojewodę Poznańskiego. Dwa wieki przetrwała ta praca, nie straciwszy nic na swojej świeżości i, jak ongi, tak i dziś może być czytana z największem zajęciem, tembardziej, że zawiera w sobie skarbnicę starej naszej gwary myśliwskiej. **75 kop.**

„Sarna". Monografia sarny napisana przez *Wiktora Stephana*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Wyborna ta praca obznajmia dokładnie czytelnika z naturą, hodowlą i sposobem życia tej najpiękniejszej ozdoby naszych lasów, oraz z wszelkiemi sposobami polowania na sarny. **60 kop**

„Kuropatwa". Monografia, napisana przez *Wiktora Stephana*, nadleśnego dóbr Wilanowskich. Dzieło to równie jak i poprzednie, zawiera liczne, objaśniające rysunki i równie wyczerpująco traktuje hodowlę tego kulturalnego ptaka. **60 kop.**

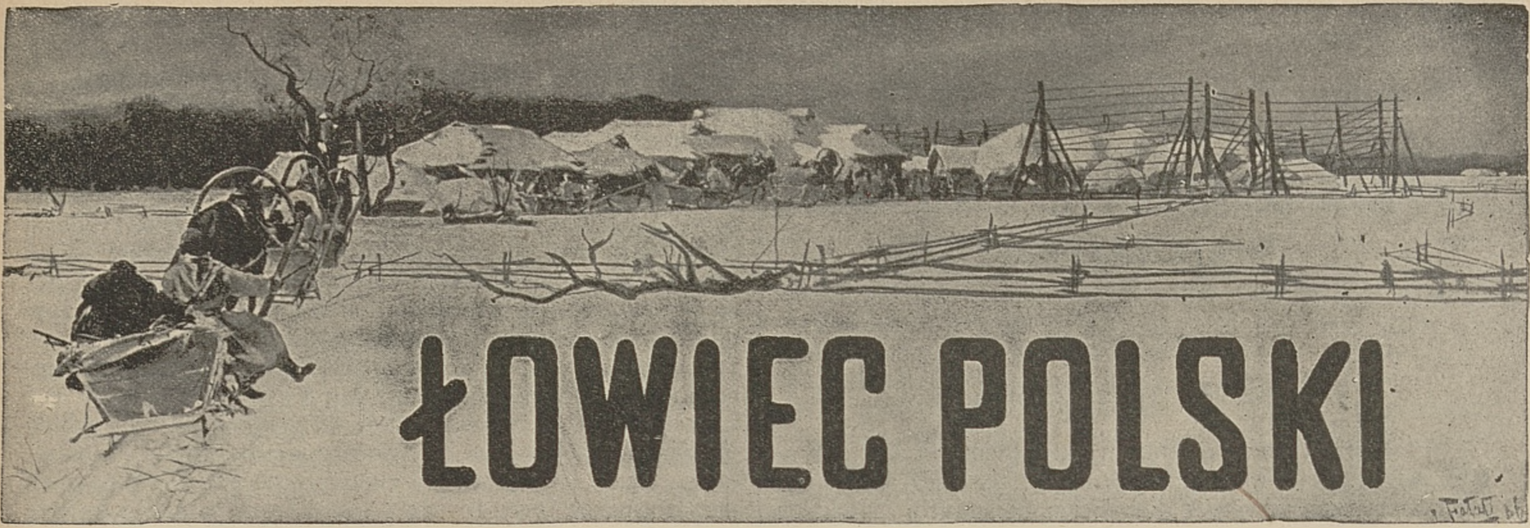
„Hodowla bażantów" przez *Goedde.* Dzieło to, uzupełnione i poprawione przez królewskiego bażantarnika z Fürstenwaldu na Ślązku Staffel'a, jest dotychczas uważane za najlepszy podręcznik w hodowli bażantów w Niemczech. Liczne rysunki objaśniają tekst dzieła. **1 rb.**

„Pies zdrowy i chory" przez d-ra *O. Hilfreicha.* Popularny podręcznik dla posiadaczy psów, a zwłaszcza myśliwych, mający duże powodzenie w Niemczech, zawiera ważne wskazówki, jak obchodzić się z psem od najmłodszego szczenięcia, oraz przepisy i recepty na różne choroby i przypadłości naszych faworytów. Tekst objaśniają liczne rysunki. **1 rb. 20 kop.**

„Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu" — Cejlon — przez *Józefa hr. Potockiego.* Wszystkie uwagi nasze zamieszczane przy poprzedniem dziele, stosują się w całości i do tych notatek. **75 kop.**

„Żywienie jeleni i sarn" napisał *Dr. Max Neumeister*, dyrektor Królewsko-saskiej akademii leśnej. Dziełko to wskazuje, jak i kiedy żywić należy swoje zwierzostany, aby dochować się licznych i pięknych egzemplarzy. **60 kop.**

Wszystkie powyższe dzieła nabyć można w Kantorze Redakcyi „ŁOWCA POLSKIEGO" (Nowy-Świat Nr. 35) w Warszawie i w Magazynie Spółki Myśliwskiej (Królewska Nr. 17)



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 225.

Nr. 15. | Warszawa, d. 1 sierpnia 1908 r. | Rok X.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

VI Warszawska Wystawa Psów.



„Norma“, suka, angielska setterka, nagrodzona medalem srebrnym.
Własność p. Oskara Saengera.

JAN SZTOLCMAN.

PTAKI DRAPIEŻNE DZIENNE
kraju naszego.

(Ciąg dalszy).

Orlik pospolity *(Aquila naevia).*

Ptak ten wraz z następnym gatunkiem (orlikiem grubodziobym) stanowi grupę orłów, oznaczającą się mniejszym wzrostem od trzech dotychczas opisanych. Niektóre samce orlików lub jak je często gmin nazywa — podorlików, nie są większe od myszołowa. Zresztą orliki posiadają cechy zewnętrzne orłów właściwych, chociaż obyczajami, a szczególnie rodzajem karmy bardzo się od nich różnią.

Orlik pospolity, najczęściej u nas spotykany, jest to ptak wielkości myszołowa lub nieco od niego większy. Całkowite upierzenie jego jest ciemno-brunatne, z czasem jednak pod wpływem światła w części płowieje i staje się brunatno-szarem. Spłowienie to pierza występuje najwięcej na wierzchu głowy i na ramionach. Często zdarzają się okazy, które na potylicy posiadają płową lub rudawą plamę. Ogon jest brunatno-czarny z dwunastoma jaśniejszemi, ledwie znacznemi przepaskami poprzecznemi.

Młode ptaki mają naogół ubarwienie ciemniejsze, a przytem występuje płowa lub rudawa pstrocizna. One to mają często na potylicy rudawą plamę, a niektóre noszą na piersiach podobne odznaczenia. Nadto końce pokryw skrzydłowych posiadają rudawe lub płowe, podłużne plamy. Nogawice, które u starych są zwykle jednolicie brunatne, u młodych są znaczone kreskami lub plamami płowo-białemi.

Dziób i pazury u orlika pospolitego są czarne, woskówka i palce — żółte, a tęcza ciemno-brunatna.

Charakterystyczną cechą tego ptaka jest dziób znacznie słabszy i smuklejszy, niż u orlika grubodziobego, i po tym szczególe najłatwiej jest oba te bardzo blizkie gatunki wyróżnić.

Długość całkowita (od końca dzioba do końca ogona) 340 do 370 mm., rozpięcie skrzydeł 1,580 do 1,635 mm.

Orlik pospolity zamieszkuje środkową Europę, a mianowicie Niemcy i Polskę. Jak daleko sięga na wschód — nie zostało jeszcze dokładnie sprawdzonem. Na zimę odlatuje do Afryki.

Pod względem uzbrojenia, ptak ten jest znacznie gorzej uposarzony od orłów właściwych. Dziób posiada słaby, palce szczupłe, pazury mniej rozwinięte. Odbija się to najwięcej na jego obyczajach, bo gdy tamte dzięki swym potężnym ogonem zaczepnym, odważają się atakować stworzenia znacznie od siebie silniejsze, orlik napada głównie na małe gryzonie, gady, a nawet nie gardzi zdechłemi rybami lub owadami. Brehm mówi, że niejednokrotnie chwycić on może kuropatwę lub zająca, lecz zdarza mu się to nader rzadko, a z drugiej strony pokłada on wielkie zasługi dla rolnictwa tępieniem myszy i polników. Nasz nieporównany znawca ptaków, Taczanowski, utrzymuje, że tylko myszy i wszelkiego rodzaju drobne gryzonie, a także wady i owady znajdywał w wolu i żołądku orlików. Świadectwo ludzi tak kompetentnych, jak dwaj zacytowani przyrodnicy, wystarczy chyba, aby nad orlikami rozciągnąć należytą ochronę i ukrócić bezmyślne ich tępienie. Są one na ogół ptakami dość rzadkimi, więc też w ekonomii naszego kraju niewielką rolę odgrywają: niemniej jednak te nieliczne okazy, które wiosną i latem kraj nasz odwiedzają, powinny się spotkać z gościnnem przyjęciem.

Orlik pospolity zamieszkuje przeważnie okolice suche, gdy jego blizki pokrewny trzyma się więcej miejsc wilgotnych. Pierwszy z nich zakłada gniazda w lasach, wybierając do tego drzewa niewysokie. Gniazdo buduje z gałęzi sośniny, osiki lub innych. Ponieważ z roku na rok wraca do tego samego gniazda, więc z czasem tworzy się z tych luźno leżących gałązek masa dość spójna. Często też orlik zajmuje gniazdo po krukach. Jaja znosi dopiero w drugiej połowie maja. Zwykle spotyka się dwa jaja, czasem jedno, a najrzadziej — trzy. Jaja pod względem kształtu i koloru, bardzo się nieraz między sobą różnią. Jedne bywają krótkie, pękate, inne — więcej podługowate; co do koloru to spotykają się najczęściej o tle czysto lub brudno białem z kiloma seryami plam rdzawych lub brunatnych. Pomiary jaj są mniej więcej 65 × 53 mm.

Rodzice otaczają swe potomstwo jaknajtroskliwszą opieką, a samiec nawet bierze udział w wysiadywaniu jaj. Jeśli samica zginie wypadkiem, to czuły małżonek sam na siebie bierze trudy wysiadywania, a następnie — wykarmienia swego ptomstwa.

Orlik tak jest słabo do łowów uposażony, że przez człowieka nigdy nie był używanym w celach myśliwskich.

W PRZEDEDNIU WIOSNY.

Nudnym, bezbarwnym szeregiem wlokły się pierwsze dnie marca przeszłego roku; ołowiane chmury z każdym dniem, zdawało się, niżej zwisały nad brudno-białą płaszczyzną nasiąkniętych wodą śniegów, wiatry hulały po polach i coraz smutniej krakały obmokłe wrony, zapadając stadami na oślizgłe, czarne szkielety rozhuśtanych wichurą drzew: — nasza późna białoruska wiosna późniła się tym razem bardziej niż zwykle.

Nastawała pora, gdy, uśpiona pozornie podczas jasnych, mroźnych zimowych dni, budzi się w sercu myśliwego szalona tęsknota za ciepłym wiosennym wiatrem, za słońcem, za cichą pieśnią skrzydlatego olbrzyma naszych lasów, tajemniczo brzmiącą w chłodnych blaskach świtu wpośród surowego królestwa sosny i mchu...

Codzień rano z przyzwyczajenia zarzucałem strzelbę na ramię, choć nie było na co polować, i szedłem przed siebie, dokąd oczy poniosą, badając, rychło li zabije przyśpieszonem tętnem wezbrana arterya rzeki, wsłuchując się w nieśmiały szmer pierwszego wiosennego strumyka i z zapałem torując mu drogę wśród rozmiękłych zasp. Pusto było jeszcze i cicho na błotach i w lasach, ale za parę dni, najdalej za tydzień, w świerkowej gęstwinie jarząbek wygwiżdże pierwsze wyznanie miłosne swej pstrokatej kochance i nad poczerniałym grzbietem grobli zapłacze czajka.

Raz gdy wracałem z podobnej wyprawy przez wązki smug, biegnący międdzy dwoma lasami, przy grupie olch, ocieniających stary, rozklekotany mostek, stanąłem, jak wryty: tuż przy mostku groblę ukośnie przecinał świeży wilczy trop, biegł lekko falistą wstęgą przez smug i ginął pod gościnnem sklepieniem starych świerków. Ślad prowadził w głębokie lasy z okolicy prawie bezleśnej, zato gęsto zasianej wioskami, gdzie nietrudno było nocnemu włóczędze podkopać się pod chlew albo po cichu załatwić się z głupim kundlem, zanim stróż pańskiego dobytku zdąży umknąć przed szarym krewniakiem do zbawczej budy.

Byłem prawie pewien, że wilk, dostawszy się po takiej nocnej wędrówce, która rzadko bywa bezpłodną, w bezpieczne miejsce, gdzie człowiek rzadko go niepokoił, położy się prędko; dwa naboje loftek tkwiły w ładownicy, nie wiele więc się namyślając, skierowałem swe kroki ku chacie leśnika Nielubowicza, z którym nie jeden dzień spędziłem w pogoni za grubym zwierzem, i w niespełna dwadzieścia minut kołatałem do nizkch drzwiczek.

— Baćko w chacie? spytałem najmłodszego przedstawiciela książęcego rodu Nielubowiczów, jednocześnie badając wzrokiem powierzchnię nizkiego, szerokiego pieca,

Orlik grubodzioby *(Aquila danga).*

Gatunek ten tak jest blizkim orlika pospolitego, że niektórzy ornitologowie uważają je za jeden i ten sam gatunek, a co najwyżej robią z nich tylko dwie różne rasy lokalne. Niemniej jednak istnieją niektóre cechy, wyróżniające je dość wybitnie, a przedewszystkiem dziób, który u orlika grubodziobego jest znacznie silniejszy, grubszy i dłuższy. Wogóle przyjąć należy, że orlik pospolity jest rasą zachodnią, a grubodzioby — wschodnią i że kraj nasz stanowi mniej więcej granicę, na której oba gatunki się spotykają. Nadmienić też wypada, że orlik grubodzioby jest nieco większy od pospolitego, co nie wyklucza jednak, że spotkać można osobniki tych różnych gatunków równe sobie wielkością.

Są też niektóre różnice w ubarwieniu, mniej wiecej stale powtarzające się u obu gatunków. Tak np. orzeł grubodzioby, posiada ogon jednobarwny, bez śladów poprzecznego pręgowania. Upierzenie skoków jest brunatne z białem pomieszane, a zwykle w dolnej części całkowicie białe. W ogólnej masie orliki grubodziobe posiadają upierzenie znacznie ciemniejsze, nieraz prawie czarne, po czem jest także dość łatwo je wyróżnić.

Gatunek ten rozciąga się na zachód do Niemiec, a na wschód — aż po Ocean Spokojny. W Rosyi i na Syberyi, jest znacznie pospolitszy, aniżeli u nas, a szczególnie — w Niemczech. Ptaki zamieszkujące Europę, lecą na zimę do Afryki i Azyi Mniejszej, gdy okazy syberyjskie sięgają w swych zimowych wędrówkach Chin południowych, oraz Indyj.

Obyczaje ma orlik grubodzioby zbliżone do swego pobratymca. Głównem jego pożywieniem są drobne gryzonie, więc też jak i tamten, zasługuje na opiekę ze strony człowieka.

Orzeł karzełek *(Aquila pennata).*

Najmniejszy ten ze wszystkich orłów, prawdziwy karzeł swego rodu, bo dorównywający ledwo, a często ustępujący wielkością myszołowowi, kończy nam seryę orłów właściwych. Dwie jego odmiany kolorystyczne — ciemna i jasna — przez długi szereg lat były uważane przez większość ornitologów za dwa odrębne gatunki, z których odmianę jasną nazywano *Aquila pennata,* a ciemną — *Aquila minuta.* W obecnych jednak czasach, uczeni przyszli do przekonania, wyrażonego już jako przypuszczenie przez Taczanowskiego, że są to dmiany czysto wiekowe, że zatem ptak w wieku młodym posiada ubarwienie ciemne, a w starym — jasne.

Stary ptak posiada wierzch brunatny, z jaśniejszemi brzeżeniami piór. Jasny kolor najsilniej występuje na wierzchu głowy, na barkówkach, oraz na pokrywach skrzydłowych. Pod każdem okiem jest dość znaczna, trójkątna przestrzeń zajęta przez pióra prawie jednolicie czarniawe. Spód jest biały lub brudnawo-biały, upstrzony podłużnemi kreskami — najwięcej na gardzieli, mniej na wolu, jeszcze mniej — na piersi. Brzuch i nogawice tej ciemnej pstrocizny nie posiadają. Ogon jest ciemno-brunatny od wierzchu, popielatawy od spodu, z niekompletnem dość rzadkiem, ciemniejszem pręgowaniem. Lotki czarne. Pod pachą znajduje się charakterystyczna, biała plama. Dziób czarny, pazury czarniawe, woskówka i palce żółte, tęcza brunatna.

Ptak młody (a może melanistyczna odmiana tego orła) jest całkowicie czarniawo-brunatny z jaśniejszemi, środkowemi pokrywami skrzydłowemi.

Długość całkowita 518 do 560.

Ptak ten zamieszkuje całą kotlinę Morza Śródziemnego, to jest południową Europę, Azyę Mniejszą i Egipt, na wschód sięga wschodniej Syberyi, a na południe zalatuje aż do Indyj Wschodnich i na Ceylon. U nas spotyka się bardzo rzadko, a przeważnie zalatuje do południowo-wschodniego kąta Królestwa, to jest do gub. lubelskiej, chociaż Taczanowski obserwował też parę tych ptaków w Tarchominie pod Warszawą.

Pod względem obyczajów, orzeł-karzełek przypomina myszołowy, chociaż ruchy ma szlachetniejsze. Karmi się przeważnie drobnymi ssakami, oraz ptakami, gadami i owadami. Lubi bardzo porywać małe ptaszki, jak trznadle,sikory, szpaki i t. p. Chętnie też rzuca się na ptaki kurowate, a mianowicie: przepiórki i kuropatwy. Widziano go raz, jak gonił bekasa, i niechybnie by go wziął, lecz mu w tem przeszkodzono. Z powyższego widocznem jest, że ten mały orzełek jest w stanie wyrządzić znaczne szkody w gospodarstwach łowieckich i dlatego zasługuje na bezwzględne tępienie; z drugiej jednak strony rzadkość jego czyni zeń ptaka niemal obojętnego dla ekonomii kraju naszego.

Wodzicki opisuje gniazdo jego, które zbudowane jest z niewielkich gałązek sosnowych i umieszczone na wysokich drzewach, nie na samym jednak czubku, lecz w rozwidleniu pnia i grubych konarów drzewa Jaj karzełek niesie dwa, a rzadko — trzy. Jaja są krótkie i pękate, o skorupie gruboziarnistej, koloru kredowo-białego z blademi

---

który zajmował połowę chaty, a na którym najczęściej można było znaleźć pana i władcę tego domostwa.

— Nima. Wzian strzelbu i poszon niehdzie, czort jehò wiedaje, kudy, — brzmiała uprzejma odpowiedź.

Nielubowicz niezaprzeczenie posiadał węch myśliwski, — wiedziałem o tem dobrze. Przeczuwał on zawsze zjawienie się zwierza w swoim rewirze, pozbywał się wtedy chronicznej apatyi i gotów był dzień i noc bez odpoczynku tropić pożądanego gościa, szczególnie jeżeli był nim wilk lub ryś. Mając nadzieję spotkać się z leśnikiem w lesie, chciałem wyjść, gdy za piecem powstał jakiś szmer, wyskoczył stamtąd Niczypor, błyskając w uśmiechu białymi, zdrowymi zębami, i skoczył mi na piersi; Niczypor, czarny podpalany kundel o małych, nawpół stojących uszkach i śpiczastym pysku, był wiernym pomocnikiem Nielubowicza, a zarazem i moim, na zimowych i jesiennych polowaniach na grubego zwierza. Pies ten za łosiem nie lubił długo chodzić; specyalnością jego był dzik i ryś, lisem i zającem gardził, wilka zaś, niestety, bał się, jak ognia. Znając tę ostatnią jego wadę, kazałem mu leżeć; spojrzał na mnie żałośnie rozumnemi, piwnemi oczami i wrócił pod piec.

Poszedłem linią leśną i, doszedłszy w to miejsce, gdzie krzyżowała się z nią druga, stanąłem bezradnie, nie wiedząc, w którą udać się stronę; stałem już chwil kilka, oparty o słupek kwartalny, gdy z lasu o kilkadziesiąt kroków ode mnie wynurzyła się barczysta, nieco naprzód pochylona postać, odziana w krótki żółty kożuszek i bufiaste samodziały, ściągnięte w kostkach rzemionami łapci; za plecami chwiała się zarzucona pozioma dubeltówka, a z pod barankowej stożkowatej czapki wyłaniała się okrągła twarz, opromieniona łagodnym, niemal dziecięcym uśmiechem, z którym dziwnie nie harmonizowały przebiegłe oczy wytrawnego kłusownika. Był to Nielubowicz.

Przeczucia moje sprawdziły się: leśnik, wyszedłszy rano na rekonesans, znalazł wilczy ślad i już zdążył otropić zwierza, co poszło mu z łatwością, gdyż znał nawylot las i obyczaje zwierzyny. Po krótkiej naradzie rozeszliśmy się; plan był taki, że Nielubowicz pójdzie śladem i wypłoszy wilka z legowiska, starając się następnie skierować go na znany nam dobrze przesmyk, rzadko omijany przez grubą zwierzynę; w przesmyku tym będzie czekała na rabusia moja dwunastka.

Józef Woyniłowicz.

(Dok. nast.).

brunatnemi, grubemi pomazaniami. Czynność wysiadywania, a następnie wychowania młodych dzielą między sobą oboje małżonkowie. Wogóle miłość małżeńska i macierzyńska jest w nich silnie rozwinięta.

(C. d. n.).

Znaczona zwierzyna.

W „Łowcu Wielkopolskim" znajdujemy interesujące szczegóły o stacyi doświadczalnej w Rożytach, której zadaniem są badania nad ptactwem przelotnem.

Odnośny artykuł „Ł. W." przytaczamy tu w całości, bowiem i naszym myśliwym może się zdarzyć wypadek upolowania sztuki, o której należałoby dać znać komu należy, co w tym artykule jest wskazane.

„W numerze 1 „Łowca" donosiliśmy o schwyceniu w samotrzask w Piotrowie, majętności p. Łowczego Unruga, myszołowa (Buteo apivorus) z obrączką, która nosiła napis „Vogelwarte Rositten 1207". Nie wszystkim czytelnikom wiadomo niezawodnie, iż w Rożytach założoną została strażnica, czyli właściwie obserwatoryum doświadczalne w celu badania zagadkowego lotu wędrujących ptaków.

W roku zeszłym rozpoczęło swą czynność na wielką skalę. Oprócz zwykłych znaczeń wron, jastrzębi etc. naznaczono przeszło 1,000 bocianów. Ponieważ ptaki te przeważnie w Sudanie zakładają zimowe kwatery, postarało się wyżej wymienione obserwatoryum, za pomocą ogłoszenia w pismach Algieru, Tunisu i Egiptu, o zwrócenie uwagi wszystkich afrykańskich myśliwych na powyższe badania, które też rzeczywiście pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały.

Pierwsza wiadomość o zabiciu mewy ze znakiem „Rositten" nadeszła od znanego handlu naturalii Blanc z Tunisu. Mewa ta zastrzeloną została na jeziorze Bahira w Tunisie. Następnie nadeszła druga,jeszcze więcej niespodziana wiadomość. Bocian znaczony w „Rositten", zabity został w południowej Afryce.

Że nasze, na północy gnieżdżące się ptaki nawet ekwator przekraczają w swych wędrówkach, dotychczas nie było wiadomem. Obrączka z numerem bociana, którym znaczony został, dotąd nie nadeszła; gdy to nastąpi, możliwem będzie postawienie pewniejszej hipotezy.

Strażnica w Rożytach w Prusach wschodnich nad zatoką Kuryjską, podaje do wiadomości, iż wszelkie ptaki znaczone są szerokim pierścieniem z aluminium, tak, że zdaleka już oznakę tę rozpoznać można. Wdzięczną jest też za każde spostrzeżenie i wiadomość o napotkaniu podobnie znaczonych ptaków.

W podobnej sprawie wydaje „Allgemeiner Deutscher Jagdschutz-Verein" następującą odezwę:

Baczność myśliwi!

Wszystkich właścicieli i dzierżawców rewirów łowieckich, jako i wszystkich trudniących się myślistwem, powiadamiam imieniem naszego stowarzyszenia i w interesie hodowli zwierzostanu co następuje:

W celu rozstrzygnięcia kwestyi wieku zwierząt kopytkowych, specyalnie sarn, postanowił „Allg. Dtsch. Jagdschutz-Verein" w roku 1904 użyć hr. Bernstorffa znaków i stara się takowymi zwierzynę w jak najliczniejszy sposób zaopatrzyć.

Znaczenie to dzieje się za pomocą niklowego guziczka, który nierozłącznie na wewnętrznej stronie niższej części muszli usznej, w ten sposób zostaje umieszczonym, iż oznaczenie przychodzi do środka ucha. Każdy guzik nosi głoski A. D. J. V. i numer bieżący.

Do końca roku 1907 wydaliśmy 53,000 znaków, a z tych 12,000 sztuk zostało dla zwierzyny zużytych.

Ważnem jest nadzwyczajnie, ażeby nam jak najmniej znaków tych zaginęło, i dla tego zwracamy się do wszystkich myśliwych i usilną prośbą, ażeby przy zabiciu, lub znalezieniu padłej zwierzyny, zwracali uwagę na powyżej opisane znaki i numer każdy bezwłocznie do miejsca centralnego pod adr. „Zentralstelle für Verausgabung von Wildmarken — Berlin W. 30. Martin Lutherstr. 2", donieśli.

Przytem proszę o podanie rewiru, datum zabicia, wagę; przy męzkich osobnikach wielkość rogów.

Wielkiej wagi dla badań naszych jest nadesłanie głów zabitych zwierząt. Uprasza się wszakże przytem znaków z uszu nie usuwać, parostków i wieńcy nie odrąbywać. Nadesłanie nieuszkodzonych głów jest dla nas największej wagi. Głowy te zostaną następnie po dokładnem preparowaniu na nasz koszt właścicielowi zwrócone. Wszyscy ci, którzy wyżej wymienionej centrali znaczone głowy nadeślą, wyświadczą nauce i hodowli zwierza nieocenioną przysługę i stają się przez to współpracownikami pożytecznego dla łowiectwa dzieła.

Wiktor, książę na Raciborzu.
Prezydent".

Jastrząb gołębiarz.

Ptak ten dość u nas pospolity, słusznie uważany za jednego z największych szkodników, ma jednak swoje sympatyczne strony.

Odważny aż do zuchwalstwa, co też nieraz przypłaca życiem, obok tego podobnie jak sokół, dziwnie łatwo się przyswaja i staje się zupełnie ptakiem domowym. Pod względem szybkości lotu, jestto chyba jeden z ptaków najszybciej latających, gołębia dogania dość prędko, jeśli ten nie zdąży się przed nim ukryć; szkody, jakie wyrządza w zwierzostanie, znaczne w stosunku do jednostki, na ogół jednak nie są wielkie, ponieważ jastrzębie, nigdzie w wielkiej ilości się nie pojawiają, i zdaniem mojem, można przyjąć, że wrony na ogół daleko więcej szkody robią, aniżeli jastrzębie.

Nie będę ja twierdził, że pojedyńcza wrona więcej zrobi szkody od jastrzębia, ale ponieważ liczebnie wrony, a nawet sroki są w olbrzymiej przewadze, zatem można przyjąć, że jeśli np. jeden jastrząb więcej zrobi szkody, aniżeli 10 wron, to znowu 20 wron więcej wyrządzi szkody, aniżeli 1 jastrząb, liczebna zaś przewaga wron nad jastrzębiami jest chyba o wiele większa, niż 20 : 1; z tego zatem powodu szkody wyrządzone przez wrony stawiam na pierwszem miejscu, jak również i względem innych szkodników. Swoją drogą, gdzie się jastrzębie zanęcą do kuropatw lub gołębi, nie mówiąc już o bażantach, do których jastrzębie żywią podobno specyalną predylekcyę, tam mogą wyrządzić poważne szkody, ale też wskutek nadmiernej śmiałości swojej, dają się łatwo zastrzelić lub złapać w samotrzask albo żelazo.

Wspomniałem tu o samotrzaskach: ze wszystkich sposobów chwytania skrzydlatych szkodników, ten jest podług mnie, najlepszy, chociażby dlatego, że chwyta szkodnika zupełnie zdrowego, co przy łapaniu w żelaza rzadko się udaje; zatem jeśli w samotrzask dostanie się naprzykład myszołów, głodem doprowadzony do tego, że wbrew swojej nazwie, pokusił się skosztować zostawionego w samotrzasku na przynętę żywego gołębia, łatwo jest po stosownem napomnieniu, aby więcej nie grzeszył, obdarzyć go wolnością. Że zaś jastrzębie łapią się w samotrzaski, o tem miałem sposobność przekonać się lat temu ze 30 w Krasnostawskiem, i żałować należy, że sposób ten bardziej się dotychczas nie rozpowszechnił, ile że się daje urządzić domowymi środkami wszędzie, i nie stanowi materyału podatnego do kradzieży, jak np. żelaza.

Wracając do jastrzębia, szczególną jest rzeczą, że ptak ten niewątpliwie dziki i drapieżny, tak łatwo uznaje nad sobą wyższość człowieka: dajmy na to, skoro postrzelimy wronę, brać ją należy ostrożnie, ponieważ kąsa i drapie zawzięcie. Jastrząb przeciwnie, gdy uciekać nie może, oporu człowiekowi nie stawia, i daje się wziąć, jak kura. Miałem sposobność przekonać się o tem lat temu kilka, z jastrzębiem niezmiernie zuchwałym, który mi się był zanęcił do gołębi. Strzelałem do niego z początku bezskutecznie, on jednak nie zważając na to, w dalszym ciągu upędzał się za gołębiami, że dopiero za czwartym wystrzałem udało mi się go powalić.

Ranny dał się wziąć rękami, nie próbując oporu. Chciałem go hodować, ale zanadto ciężko był ranny i trzeciego dnia zdechł, jakkolwiek przez ten czas, brał już mięso z ręki. W jakiś czas potem dostałem młodego, ale latającego już jastrzębia, kiedyśmy się spotkali na polowaniu, gdzie każdy z nas próbował szczęścia na własną rękę. Temu śrócina złamała tylko koniec lotki, zatem wziąwszy go również bez próby oporu z jego strony, zaniosłem żywego do domu, i rozbrojony jego pięknością, postanowiłem go hodować. Ten wygoił się prędko, i oswoił się tak dalece, że po tygodniu chodził ze mną na spacer, siedząc na ramieniu. Względem moich czworonożnych domowników, psa i kota, zachowywał się w ten sposób, że pies był mu obojętnym, zaś kot był mu antypatycznym, jakkolwiek kot ten żył w wielkiej przyjaźni z moją wyżlicą, z którą często razem sypiał; jednak jastrząb go nie znosił, i skoro tylko kot pokazał się w pokoju, jastrząb wściekle rzucał się na niego, tak, że biedny kot, jak niepyszny musiał zmykać, w uznaniu zasady: siła przed prawem, którą on sam stale stosował względem myszy i szczurów, co go tem bardziej dziwić musiało, że był ogólnym faworytem, nie wyłączając swego wrodzonego nieprzyjaciela — psa. Pomimo tego biedny jastrząb nie uniknął smutnego losu większości dzikich zwierząt w domu hodowanych.

Po powrocie z kilkodniowej wycieczki, zastałem go — nieżywego, z jakiej przyczyny, tego dojść nie mogłem, a żałowałem go bardzo, i odtąd nigdy już żywego jastrzębia dostać nie mogłem.

Ktoby miał żyłkę hodowania oswojonych dzikich zwierząt i ptaków, temu chętnie polecam jastrzębia gołębiarza, jako towarzysza nadzwyczaj przyjemnego i sympatycznego, w przeciwieństwie z krogulcem, który jest nader dzikim i złośliwym. Dziwna zaś sympatya gołębiarza do człowieka da się chyba wytłómaczyć czemś podobnem, jak to ma miejsce w Ameryce z innym szkodnikiem, kuguarem, który wyrządzając ludziom znaczne szkody, bezpośrednio względem niego zachowuje się nader przyjaźnie.

J. Konczewski.

Sport wędkowy.

W „Gazecie Kaliskiej“ z d. 18 czerwca znajdujemy interesujący artykuł o sporcie wędkowym. Przytaczamy go tu w całości.

Ze wszystkich sportów najwięcej może nęcą te, których istotę stanowi walka, i to walka prowadzona nie tyle siłą, ile zręcznością i podstępem, a zwycięstwo wieńczy zdobyty łup. To też polowanie i rybołówstwo są najbardziej pożądanemi i najwyżej cenionemi sportami. Zdaje się, że w człowieku nawet najbardziej odsuniętym przez kulturę od stanu pierwotnej dzikości, drzemią na dnie atawistyczne namiętności, które nigdy nie giną i zawsze są w stanie nim owładnąć. Polowanie i rybołówstwo — to sposoby utrzymania i używienia się człowieka pierwotnego, a równocześnie najpożądańszą rozrywką człowieka wysoko cywilizowanego, której oddaje się on równie namiętnie, jak jego pół dziki praszczur, co dowodzi, że najtrwalsze i niemal niezniszczalne są uczucia i popędy najpierwotniejsze.

U nas polowanie jest w wysokim szacunku; od wieków z temperamentem uprawiane, bardzo znane i popularne. Sport natomiast wędkowy jest bardzo mało znany, zaniedbany i nie ceniony tak, jak na to zasługuje. Nie rzadko słyszy się zdanie: „Sport wędkowy — o! to nudne — do tego trzeba mieć anielską cierpliwość“. Polega to na nieznajomości rzeczy, na nieporozumieniu, bo, przeciwnie, niema może zajęcia sportowego, któreby było w stanie tak niepodzielnie owładnąć umysłem, jak wędka; niema może zajęcia, przy któremby czas tak szybko upływał, jak przy sporcie wędkowym; trzeba go tylko poznać, nauczyć się go i wiedzieć, o co tu chodzi.

Jak przy polowaniu zależy nietylko na tem, aby zwierzynę ubić, ale przedewszystkiem na tem, aby ją pokonać za pomocą osobistego sprytu i zręczności, tak przy sporcie wędkowym zasadniczo chodzi o to, aby rybę schwytać za pomocą własnego przemysłu, za pomocą osobistej zręczności; chodzi o to, aby wywiązała się walka bezpośrednia między zwierzęciem, a człowiekiem — i ta daje dopiero właściwą satysfakcyę. To też wyłączone są ze sportu sposoby łowienia ryb na sieci, saki i t. p., a przy łowieniu na wędkę dozwolone są tylko te sposoby, które wykluczają ślepy przypadek. Nieliczy się za tem do sportu łowienia ryb na robaka w wodzie zmąconej, bo zręczność zastępuje tu mętna woda i niema włościwej walki. Pod sportem wędkowym rozumie się tylko łowienie na sztuczną muszkę i sztuczną rybkę, czyli obrotek.

Zasadniczą podstawą sportowego łowienia ryb jest czynne nęcenie ich na ponętę; to też łowi się ryby drapieżne, rzucające się na upatrzony łup, czy nim będzie malutka muszka tonąca w nurtach rzeki, czy jętka lub komar, składający jaja na jej powierzchni, czy też błyszcząca rybka, mknąca pod prąd. Pierwszorzędnemi rybami sportowemi są pstrąg, lipień, łosoś, szczupak i głowacica. Większość tych ryb żyje w naszym kraju i można powiedzieć śmiało, że mógłby istnieć u nas pierwszorzędny sport wędkowy; trzeba tylko, aby go poznano i interesowano się nim i aby weszła w życie fachowa gospodarka sportowa, a wtedy możemy mieć na miejscu dla siebie i dla drugich przednią przyjemność sportową, a kraj źródło dochodów nie do pogardzenia. Jednak, jak dotychczas, sport ten jest u nas mało znany, nie oceniony odpowiednio i mało kto wie, jak się właściwie łowi sportowo ryby i jakie; mało kto domyśla się, ile w tym sporcie jest ukrytej przyjemności i rozrywki.

Ryby drapieżne, na które się wyłącznie sportowo poluje, są zarazem rybami bardzo ostrożnemi; to też jeżeli się chce wywabić z kryjówki dzikiego pstrąga, lub szybkiego jak piorun lipienia, należy znęcić go ponętą taką, jaka w danej porze wydać mu się musi czemś naturalnem. Podaje się zatem muszki tego rodzaju, jakie w danej porze uwijają się nad wodą. Muszka taka musi być w ten sposób rzucona, aby ryba nie miała najmniejszego podejrzenia, że to spada coś nienaturalnego, coś sztucznego, powinna spaść na powierzchnię wody, jak spada na nią leciuchny płatek śniegu. Spadłą muszkę porywa i niesie rwący prąd wody, a wędkarz bystrem okiem śledzi jej bieg. Zaczajony pod kamieniem i czyhający na zdobycz pstrąg, zoczył ją, skoczył — i nad rozpryśniętą powierzchnią wody błysnęła na moment złocista jego łuska, a porwana muszka tonie razem z pstrągiem, znaczącym ucieczkę swą szybkiem ściąganiem linki z wędziska i kołowrotka. Choć pstrąg spostrzegł się, że zdobyta muszka jest sztuczną, wypluć jej nie może, bo zdradziecki haczyk wbił się w paszczę i tkwi w niej silnie. Oto moment, w którym sport staje się najbardziej interesujący — to początek właściwej walki. Z jednej strony zakłuta ostrym hakiem, przerażona ryba, silna w swoim naturalnym żywiole — z drugiej człowiek, dzierżący ją na stosunkowo cienkiej i słabej lince, zakończonej jeszcze cieńszą i ledwo widoczną nitką surowego jedwabiu — przyponem. O sforsowaniu ryby najczęściej mowy niema, bo narzędzie zbyt

delikatne nie wytrzymałoby naporu jej siły i ciężaru. Rozpoczyna się zatem walka, w której z jednej strony wchodzi w grę błyskawiczna chyżość ruchów niespodziewanych, zwrotów nagłych, a nieprzewidzianych, gwałtownych szarpnięć i rozpaczliwych skoków — a z drugiej spokój i zimna krew, szybkość decyzyi, doskonałe i trafne obliczenie własnych ruchów, również jak ruchów schwytanej zdobyczy.

Uwięzła na haku ryba prowadzi ze swym prześladowcą walkę energiczną i zupełnie świadomą celu, stara się urwać sznur wiążący ją wszystkimi sposobami, które to wysiłki udaremnić jest właśnie zadaniem łowcy. Z zapartym oddechem, z wytężonym wzrokiem śledzi on ruchy ryby i linki, popuszcza sznura, lub skraca go szybko chyżymi obrotami kołowrotka, opuszcza momentalnie wędzisko na dół lub szybko podnosi koniec jego do góry — nie pozwala wydostać się rybie na dzikie wody, lecz zwolna, łagodnie, a stanowczo kieruje ją na wodę spokojną, sposobną do wylądowania uchwyconej zdobyczy. Gdy spostrzeże, że opór osłabł, że ryba daje oznaki zmęczenia, skraca szybko linkę i odpowiednim ruchem wędziska wprowadza wyczerpaną zdobycz do saczka, podtrzymywanego drugą ręką w wodzie. Walka skończona, a nagrodą jej piękny łup, tem milszy, im walka była dłuższą i zaciętszą, trwać ona zaś może, gdy ryba jest duża, nawet i godzinę.

Zapasy takie nie zawsze kończą się zwycięstwem rybaka. Niezbyt rzadko trafia się wędkarzowi, że ryba wychodzi zwycięsko z tej próby. Nie pozostaje mu wtedy nic innego, jak przyprowadzić do porządku uszkodzone przyrządy sportowe i próbować szczęścia dalej.

Uchodzenie i wylądowanie złowionej ryby jest kulminacyjnym punktem sportu wędkowego. To moment walki, przy którym jest się w bezpośredniem zetknięciu ze zwierzyną, na którą się poluje. Za pośrednictwem linki i wędziska czuje się każde drgnięcie schwyconej ryby, każdy jej ruch; wyczuwa się jej pulsujące życie, skoncentrowane we wściekłej obronie, które drażniącym prądem przechodzi w nerwy łowiącego. Wędkarstwo też tą bezpośredniością walki, tem zetknięciem się osobistem ze zwierzyną, ma wyższość nad dzisiejszem polowaniem, gdyż tam, po strzale oddanym nieraz na znaczną odległość, wszystko się kończy i niema dłuższej osobistej walki. Nierzadko też nawet bardzo zamiłowany myśliwy, nauczywszy się władać wędką, zaniedbuje strzelbę, bo tamta daje mu większą sumę wrażeń i rozrywek.

Interesujący swój traktat o wędkarstwie kończy niepodpisany autor wnioskiem, na który zgodzić się trudno. Porzucić strzelby dla wędki „zamiłowany myśliwy“ nie może. Zresztą porównania pomiędzy sportem myśliwskim, a sportem wędkowym ściśle przeprowadzić się nie da. Innych one dostarczają wrażeń, zadawalniają inne gusta, temperamenty i postawione są w zupełnie odmiennych warunkach.

Myśliwy przenosząc się z miejsca na miejsce, ma co chwila inne przed oczyma widoki, zażywa ruchu, nieraz znojnego, który hartuje jego muskuły, a myśl bezustannie zwrócona w kierunku znalezienia lub podejścia zwierza, odbiega daleko od spraw codziennych, co daje jej odpoczynek zupełny.

Rybak stojący godzinami bez ruchu nad mętną wodą, z oczyma utkwionemi w spławik, z natury rzeczy przebywać musi na jednem miejscu, nie doświadczając tych zbawiennych skutków mocyi na świeżem powietrzu, jakie daje myślistwo. I nie można się dziwić, że młodzieniec, w którym życie wre i kipi, nazwie nudnem wędkarstwo, a chwyci za strzelbę i ruszy w pole lub do lasu gdzie oczy poniosą.

Ten wysoki sport wędkowy, o którym pisze, autor przytoczonego artykułu, t. j. łapanie na sztuczną muszkę pstrągów i t. p. należałoby porównywać też z wysokiem myślistwem, jak polowanie na dziki, jelenie i t. p. grube lub rzadkie sztuki. A czyż przy porównaniu takiem może się ostać sport wędkowy? Czyż da się porównać wrażenia myśliwego podchodzącego ryczącego jelenia, lub grającego głuszca, z szarpaniem się na haku pstrąga lub szczupaka?

Sz. autor omawianego artykułu doskonale wyczuł wrażenia sportu wędkowego, sportu myśliwskiego jednak nie ukochał. Nie odmawiamy pierwszemu właściwości dostarczania wysokich przyjemności sportowych, są one jednak zupełnie innego rodzaju i dla nich „zamiłowany myśliwy“, dopóki mu brak sił nie wytrąci z rąk strzelby, na wędkę jej z pewnością nie zamieni.

J. Z.

LALIN.

(Ciąg dalszy).

Po chwili znika wszystko za pagórkiem i słyszę tylko straszliwe ujadanie psów i jednocześnie drugi strzał Lalina i wołanie przeraźliwe gromady „ubit, gotów“. Nie mogłem z za pagórka widzieć, jak Lalin strzelał, chociaż mówił mi, że dostrzelił zwierza w postaci siedzącej z opuszczonym łbem; ci, którzy widzieli zdaleka, opowiadali, że niedźwiedź w chwili strzału już leżał. W każdym razie drugi strzał Lalina był zbyteczny i uważać go tylko należy jako „coup de grâce“.

Od stanowiska, które zajmowałem, padł on o 80 do stu kroków.

Oglądaliśmy trupa detalicznie; nie był to niedźwiedź, lecz niedźwiedzica, jałowa i ogromnie utuczona; robiła wrażenie burej bryły i Lalin określił jej wagę na oko na 12 do 14 pudów; egzemplarz więc średniej wielkości. Zabrał się on niezwłocznie do patroszenia, zakasawszy uprzednio rękawy; trzeba było widzieć, z jakiem amatorstwem i wprawą operował nożem. To już nie był pachołek rzeźniczego cechu, a sam pan majster. „Tej funkcyi nikomu nie powierzam“, objaśnił mi i dodał potem: „z chwilą gdy wchodzę do tajgi jako myśliwy-przemysłowiec, zatracam wszelkie cechy człowieka kulturalnego i staję się leśnym“.

Po rozpruciu brzucha zaraz wypadła z pod skóry druga moja kula Witzlebena, ale bez drewienka; widocznie prześlizgnęła się ona między brzuszną powłoką a skórą z prawego boku na lewy, nie przyczyniając żadnego poważniejszego uszkodzenia i nie deformując się wcale.

Ruszyliśmy znów dalej, rozciągając się sznurem jeden za drugim długą linią i brnąc po kolana w dziewiczym śniegu. Nie było już tego zapału i ferworu, który miałem zrana i w południe i chociaż sił mi nie brakło, odczuwałem, że już nie jestem tym, jakim przed paru godzinami jeszcze byłem.

Jakieś inne, jak Niemcy nazywają „flau“, bierne niby i słabe usposobienie wogóle zapanowało, bo ujawniło się ono w całej gromadce naszej, zarówno w ruchach ociężałych, jak i w obojętnym wyrazie twarzy. Z trudem podnosząc nogi, w milczeniu dalej brnęliśmy, co kwadrans przystając na parę minut dla niezbędnego wypoczynku. Futerko moje chociaż lekkie, zaczęło mi ciężyć, jednak nie ryzykowałem go zdejmować, gdyż pozimniało i widocznem było, że na wieczór zapowiadał się tęgi mróz. Jak żałowałem wtedy, że nie mam konia i choć nie pół królestwa, jednak dałbym dużo za jakąkolwiek, choćby najmarniejszą szkapę; i po kiego licha było temu gapiowi kożuch swój zostawiać i na drzewie zawieszać; dlaczego mianowicie na jego konia wsiadłem, a nie na innego; dlaczego tak się dziwnie wszystko drugi dzień z rzędu składało? Takie w myśli zadawałem sobie pytania. Zadawalniającą odpowiedź dać na to zapewne nikt by nie potrafił. Przez dwa dnie prawie szereg niespodzianek, a nie wiadomo jeszcze, co mi dzisiejszy wieczór przyniesie.

Te dwie wiorsty niezawodnie musiały być z rodzaju tych, które ongi Jermak koszturem swym odmierzał. Doszliśmy w końcu po półtoragodzinnym, męczącym i uciążliwym

żliwym pochodzie, znużeni i wyczerpani do t. zw. „Stanu“ t. j. na prędce skleconego z gałęzi i kory brzozowej szałasu.

Zwykle takie szałasy robią się z kory modrzewi, których pełno jest w całej Syberyi; w tej miejscowości modrzewi w pobliżu nie było i dlatego korę modrzewiową zastąpiła brzozowa. Prócz jednego Lalina, który zdawał się nie odczuwać na swych nartach żadnego zmęczenia, wszyscy byliśmy do takiego stopnia zmęczeni, że musieliśmy koniecznie należycie wypocząć, tem bardziej, że do miejsca było już blizko, według słów przewodnika, nie więcej nad sto sążni t. j. trzysta kroków. Należało więc świeżych sił nabrać. Coś podobnego możliwem jest chyba tylko w tajdze syberyjskiej. O trzysta zaledwie kroków od szałasu, gdzie człowiek półtora miesiąca, bo od połowy września, aż do listopada przebywał chociaż nie stale, strzelając jarząbki i wiewiórki-popielice, a noclegi prawie zawsze spędzał tu w szałasie, niedźwiedź urządził sobie legowisko swoje.

Ze względu, że punkt barłogu samego nie był, jak rzekłem, ściśle określony, a tylko wiadomo było, w jakiem mniej więcej miejscu poszukiwać go mamy, należało w tym razie działać bardzo oględnie i nadzwyczaj ostrożnie, nieustannie mając się na baczności.

Po kwadransie odpoczynku i rozgrzaniu się przy małem ognisku, naprędce z resztek nawpół rozwalonego szałasu roznieconem, poprzedzani przez przewodnika, zaczęliśmy się zwolna posuwać wzdłuż „padi“ t. j. rozpadliny, przy której skraju stał szałas; uszliśmy tak może ze dwieście kroków, poczem po stromym bardzo brzegu zsunęliśmy my się w dół o parę sążni niżej, przytrzymując się przytem za krzak czeremchy, która w tem miejscu na pochyłości rosła, i znaleźliśmy się na wielkiej łące, dość równej i czystej. Charakter miejscowości zupełnie był różny od poprzedniego. Do przeciwległej strony tej łąki, stanowiącej niejako dno rozłogu, przytykał gęsty starodrzew, składający się z ogromnych sosen i kolosalnych osik, a na samym skraju zdaleka już widać było olbrzymią kupę jedno na drugiem drzew, przez czas i burze widocznie nawalonych i spory szmat ziemi zajmujących, słowem zwykły t. zw. „łom“, tylko wielkich rozmiarów.

W tym to łomie, tak bilzko od zamieszkanego szałasu urządził nieoględny niedźwiedź swe legowisko.

Przypuścić należy, że w rzeczywistości musiało być inaczej t. j., że barłog niedźwiedź przygotował przed przybyciem człowieka, co jest o wiele prawdopodobniejsze, wziąwszy pod uwagę to, co jest rzeczą powszechnie wiadomą, że zwyczajem niedźwiedzia jest przygotowywać legowisko swe zawczasu, bo niejednokrotnie zdarzało się znajdywać w pierwszych dniach września już gotowe, świeżo przygotowane barłogi niedźwiedzie; że zaś człowiek tylko noce spędzał w szałasie, przebywając od świtu do późnego wieczora w dalszych okolicach, a strzelał pocichu z małokalibrowej, jak zwykle, gwintówki malutkimi nabojami prochu i kulką nie większą od ziarna śrótu Nr. 0, mógł więc nie zwrócić podejrzenia swoją obecnością. Uważający bacznie na wszystko człowiek, zauważył, przechodząc skrajem rozłogu, świeżo nadarty mech i ślady zwierza, a potem już obserwując to miejsce, i samego niedźwiedzia parę razy wieczorem widział.

Jako doświadczony „promyszlenik“ nie zbliżał się tam więcej, żeby przypadkiem nie spłoszyć zwierza, zanotowawszy tylko dokładnie miejsce.

Zbliżaliśmy się tedy do owego zwału czyli łomu; psy były wzięte krótko na sznurki, jak i przy pierwszym barłogu, a ludzie z nimi podeszli bliżej, pozostając o kilkanaście kroków tylko za mną na polance.

Lalin obszedł dokoła zwał i od strony boru zatrzymał się po drugiej stronie, wybierając dogodniejsze stanowisko pod jedną z olbrzymich sosen. O miejscu tem i ja myślałem lecz on mnie uprzedził.

Na skinienie puszczono psy; zaczęły one odrazu przeszukiwać we wszystkich kierunkach kłody i splątane konary powalonych drzew.

Nie śpiesząc się, najsumienniej sprawiał się „Miszka“, jak i należało się spodziewać. Nie było miejsca, gdzieby ten pies nie załaził; kilka razy zwalił się z cieńszych pni, oślizgując się i wyłażąc z pod zwału cały śniegiem zasypany; lecz nie zrażając tem, szukał dalej, wciąż atoli bez skutku.

Już dłuższy czas tak staliśmy i zwątpienie opanowywać mnie zaczęło, gdy nagle najniespodziewaniej tuż przy mnie pierwsza zaszczekała „Łuszka“.

Wnet zjawił się „Wołczok“ i „Miszka“, znajdujące się wówczas na przeciwległym końcu i wszczęły staranne poszukiwanie. „Łuszka“ posunęła się jeszcze parę kroków na przód przedemną i jeszcze parę razy szczeknęła.

(C. d. n.)

Wyprawa myśliwska pod równik

skreślił

LEON HORODYSKI.

(Ciąg dalszy).

Pierwotna siła i płodność natury dzikiej, nie wyniszczonej i nie przetrzebionej jeszcze ręką człowieka, objawia się w głębi terytoryum angielskiego protektoratu wschodniej Afryki, bujnem życiem wegetacyjnem i wspaniałą fauną. Chciałbym dać wyobrażenie o jej ilości i rozmaitości. Terenem mych operacyi myśliwskich, były przestrzenie, leżące mniej więcej po środku między Mombasą a Najrobi, a w szczególności okolice Vaj, Makindu, Simba i Sullan Hamud. Pierwsza z tych miejscowości położoną jest około 600 m. nad poziomem morza, trzy następne około 1500 m. W wycieczkach i marszach karawaną nie oddalałem się od toru kolejowego nad 40 klm., pomimo tego, widziałem ciągle niezliczone stada antylop różnych gatunków, gazel, zebr, spotykałem lwy, nosorożce, żyrafy, strusie. Na antylopy stepowe polowałem zwykle z nagonką; oczywiście obchodzić ona musi niebywałe przestrzenie, jeżeli step jest równy, a to w tym celu, aby otaczana zwierzyna nie widziała ludzi przed zamknięciem półkola. Gdy teren jest falisty lub pagórkowaty, ma nagonka znacznie mniej pracy, bo mniejsze koła zataczać może. Jeżeli stanowisko myśliwego wypadnie na jakiejś wyniosłości, z której daleko horyzont widać, wtedy widok jest tak niezwykły i zajmujący, że chociaż nic na strzał nie przyjdzie, epizod zostaje głęboko wryty w pamięci: Pogonki nie widać — postępuje w odległościach nie tylko dla oka, ale i dla lunety niedostrzegalnych—ruchy stąd na stepie podobne są bardzo do manewrów kawaleryi — z początku małe grupy zwierza posuwają się w jedną stronę, powiedzmy na prawo od stanowiska obserwatora, bo od tej strony pogonka zaczęła zachodzić—przybierają różne kształty i postępują różnem tempem, nie można jeszcze wiedzieć, co zamierzają i jaki kierunek obiorą. Potem oko dostrzega jakąś kurzawę na froncie przed sobą — chwyta się za lunetę, bo ciekawość zbiera wiedzieć, jaki gatunek zwierza dominuje — rozpoznać jednak niepodobna, widać grupki i punkciki, poruszające się i nic więcej, aż oto z lewej strony na horyzoncie zaczyna się coś przybliżać i cały wielki step, jak okiem objąć, poczyna żyć! Małe stadka przechodzą niby przednia straż poza linię pagórka w plecy myśliwego. Następuje chwila ciszy, niby ostatecznego zastanowienia lub głuchego naprężenia, jak bywa przed burzą, lub przed atakiem kawaleryi. Przez lunetę zauważyć można tymczasem na horyzoncie pionowe kreseczki ruchome — to pogonka, czasami błyśnie broń na ramieniu mego strzelca, który ją prowadzi. Zwierzyna obserwuje niezwykłe, dwunożne stworzenia z zaciekawieniem podobnie, jak ja ją obserwuję.

I naraz zrywa się huragan! Małe grupy wpadają na siebie, łączą się i zlane w jedną całość walą dalej. Gdy przechodzą przez niezarośnięte halawy, podnosi się tuman kurzu. Teraz już blizko! Na czele kołysze się czerwone

pasmo, to kongoni, z boku doganiają je niższe, bardziej luźno i uważnie pędzące sztuki jasnego koloru, to antylopy Granta, przeganiają kongoni i zatrzymują się raz jeszcze na uboczy dla obserwowania. Za kongoniami galopują ciężkie, do bawołów podobne gnu. Naraz słyszysz głuchy tentent, odwracasz głowę i widzisz wspaniałą defiladę stada zebr. Spłoszone z innej strony, podjęły przeciwny kierunek i krzyżują się kongoniami. Te nie zwracają na zebry uwagi, rozstępują się tylko przed bardziej zwartą masą i idą dalej w obranej dyrekcyi. Ciężki gnu staje obałamucony: tędy zebry, tamtędy kongoni, rusza parę razy włosistym ogonem na znak namysłu, wreszcie przyłącza się do bliższego stada zebr i galopuje za niemi dalej, porzucając kongoni. Dla zobaczenia takiego widoku warto pojechać do Afryki, chociażby i bez strzelby. Wymieniłem w tym obrazku ze stepów afrykańskich parę gatunków antylop, bo zamierzam zapoznać z niemi bliżej czytelnika. Miałem sposobność przypatrzenia im się nieraz i śledzenia sposobu ich życia, a że w piśmiennictwie naszem nie spotkałem się z opisem wyglądu i obyczajów wielu osobników fauny Afryki wschodniej, może więc tymi szczegółami będę mógł zainteresować, przeplatając je epizodami myśliwskimi.

Na zakończenie wstępu przedstawię moją karawanę, arsenał myśliwski, wreszcie rzucę kilka uwag i rad nabytych z doświadczenia.

Przybyłem do Mombasy z Europy z moim strzelcem. Oprócz nas dwóch ekspedycya składała się z trzydziestu ludzi. Pierwszym między nimi, jako tłumacz,komendant i kierownik wewnętrznego życia obozowego, był Europejczyk, Niemiec, który brał czynny udział w wojnie boerskiej, a potem osiadłszy na stałe w Najrobi, bez specyalnego zajęcia, zarabia dalej na życie jak może i umie. Po nim następuje co do godności i władzy, muniampara, naczelnik karawany ze szczepu Swahili, pod którego bezpośrednimi rozkazami stali tragarze. Do usług specyalnych miałem boy'a, który obsługiwał mnie i strzelca, dalej kucharza i ściągacza skór. Reszta ludzi niosła podczas pochodów tobołki, a gdy obóz był rozbity, używałem ich jako nagonki. Pod wierzch miałem dwa osły, z których jeden zginął niebawem ukąszony przez tse-tse, a drugi do końca mi służył, choć także wystąpiły objawy złowrogie ukąszenia tej muchy.

Arsenał myśliwski składał się z dwóch Schönauerów cal. 6,5 mm., jednego ekspresa podwójnego 577 i jednej dubeltówki cal. 12 do śrutu. Naboje były zalutowane w blaszanych puszkach, aby nie ucierpiały od wilgoci. Rozłożony obóz zabierał sporo miejsca. Osobne namioty miałem ja, mój strzelec, europejski tłumacz i muniampara — reszta ludzi miała dla siebie sześć namiotów i umieściła się po kilku w jednym. Osły zapędzone były na noc do seriby, zrobionej z kolczastych krzewów. Gdy zmierzch zapadł, rozkładano ogniska i dwóch ludzi spełniało wartę, zmienianą w ciągu nocy. Potrawy, któremi my trzej Europejczycy żywiliśmy się, składały się z konserw i świeżo upolowanego mięsa. W konserwach były jarzyny, mleko, kompoty, ryby, trochę mięsa, masło i ingredyencye kuchenne. Wszystko to zostało kupione w Mombasie i pochodziło z fabryk angielskich, z wyjątkiem konserw maślanych, które pochodziły z fabryki duńskiej.

Do picia używałem Giesshüblera, albo lekkiej herbaty. Napoje te były chłodzone przez wystawienie przez całą noc na rosę w rądlu, a rano już chłodne wlewano do flaszki „Thermos", która okazała się bardzo praktyczną. Krajowcy dostawali codziennie racye ryżu, w zadziwiająco małych porcyach i mięso upolowanych zwierząt. Garderoba myśliwego powinna być ilościowo jak najskromniejszą. Bezpośrednio na ciele nosić się powinno tylko wełnę, dla uniknięcia przeziębienia. Wszystkie części ubrania powinny być ze względu na myślistwo, ciemne. Używane powszechnie żółte materye angielskie „Khaki", są bezsprzecznie za jasne, lecz nie znając mocniejszych materyi do prania, radziłbym ich używać, ale zafarbowanych na ciemniejszy kolor. Jedno sukienne ubranie i dwie ciepłe kamizelki, flanelowa i włóczkowa, są w okolicach Najrobi pożądane, a dla myśliwych, dążących w wyższe regiony, konieczne. Obuwia używają zwykle grubego, podbitego gwoździami, ja nosiłem tylko buciki o grubych, gumowych podeszwach i uznaję je, jako najlepsze. Skarpetki wełniane, nie cienkie. Na głowie kask korkowy jest najodpowiedniejszy, także kapelusz pilśniowy z dużemi krysami i podłożoną chustką, dobrze służy i jest lżejszy od kaska, ma jednak swoje niedogodności, bo chustka powiewająca na karku przytępia słuch, zasłania z boków widnokrąg i przy polowaniach niebezpieczniejszych, jak n. p. na lwy lub nosorożce, nie może być z tego powodu używaną. Pamiętać należy, że wyjście na słońce z głową obnażoną, jest dla Europejczyka zawsze niebezpiecznem i może w jednej chwili sprowadzić udar słoneczny. Namioty bardzo różne są do wyboru w Mombasie i Najrobi. Koniecznem jest, aby namiot miał podwójny dach. Rzecz oczywista, że im namiot jest większy, tem jest wygodniejszy do mieszkania, ale też tem mniej praktyczny do noszenia, składania i rozbijania, przeto pewna wielkość zwykle nie bywa przekraczaną. Namiot pokrywający 2 metry w szerz, a 2.5 m. wzdłuż, wystarcza zupełnie. Jako posłanie najpraktyczniejszem jest łóżko składane z rozpiętem płótnem i cztery koce z sierci wielbłądziej, dość duże, żeby zwinięte końce spodnich koców tworzyły wałek pod głowę jako poduszka. Nad łóżkiem tiul jest niezbędny dla ochrony przed komarami i innem robactwem.

Ważnym przedmiotem jest wanna gutaperkowa — jeżeli tylko niema się wielkiej febry, kąpiel wieczorem po polowaniu orzeźwia bardzo, ale kąpiel ciepła — pod żadnym warunkiem zimna. Apteka podróżna ma być zaopatrzona w dostateczną ilość chiny — pastylki chinowe komprymowane, firmy Burrough Welcome C° są najpraktyczniejsze. Chinę należy brać w każdym razie, nie czekając symptomów febrycznych i to albo co dzień rano w małych ilościach, albo raz na tydzień w dużej dozie. Uchronić się zupełnie od febry jest niepodobieństwem, zależy więc na tem, aby organizm był zawsze odpornym na większe paroksyzmy, a zatem nie wycieńczony zbytnimi marszami.

Aparat fotograficzny miałem także z sobą, lecz większa część zdjęć i to najciekawszych nie udała się z powodu wilgoci i nieodpowiedniego światła w gęstych „bushes".

W Mombasie i Najrobi jest dużo przedsiębiorców, którzy podejmują się złożyć karawanę myśliwską.

(C. d. n.).

Broń myśliwska przed 100 laty w Polsce.

W wydanej w Wilnie w 1823 roku, a zatem 85 lat temu, książce kandydata filozofii, Ignacego Bobiatyńskiego p. t. „Nauka Łowiectwa", znajdujemy niektóre ustępy, poświęcone opisowi broni ówczesnej, amunicyi i sposobów strzelania. Rzecz ta ma nietylko wartość historyczną, ale i pewne znaczenie praktyczne, gdyż daje obraz retrospektywny tego, co było, a zarazem pozwala na zestawienie porównawcze z tem, co jest obecnie, gdy broń mamy udoskonaloną, ale zwierzyny bez porównania mniejszą ilość. Z tych względów przytaczamy odnośne ustępy w dosłownem brzmieniu, zachowując tem samem wszelkie zwroty stylowe i terminologię ówczesną:

O broni ognistej, wyrabianiu jej, przywarach i zaletach.

Pod nazwiskiem broni ognistej uważają się narzędzia prochem, kulą lub szrótem nabijane, służące do strzelania rozmaitego rodzaju zwierzyny. Użycie tej broni we

Francyi upowszechnione jeszcze było za panowania Franciszka I-go. Od tego czasu w polowaniu zaniedbano łuku i strzały, a doskonalono i używano tylko broni ognistej, której mamy dwa rodzaje: pierwszy sztućców do kulki pospolicie używanych, a oddawna zwanych muszkietami; drugi na mniejszą zwierzynę zowiący się strzelbą czyli fuzyą. Dla składu ich zewnętrznego można byłoby policzyć do tego rzędu i wiatrówki, strzelające za pomocą zgęszczonego powietrza: lecz, że te ostatnie podlegają częstym przypadkom i niebezpieczeństwu; zostawuję przeto każdego ciekawości znajomość tego rodzaju oręża: tu mówić tylko zamierzam o broni ognistej i jej rozmaitych gatunkach.

O sztućcu czyli gwintówce.

Sztuciec ma powszechnie ściany wewnątrz rury gwintowane w kształcie ślimakowatym, używa się pospolicie do strzelania grubego zwierza w odległości ośmiudziesięciu do 150 kroków. Żeby więc sztuciec był odpowiednim zamiarom strzelającego, opiszę go szczególnie, zaczynając naprzód od rury, stanowiącej najważniejszą część sztućca. W jej wyborze należy mieć uwagę nietylko na czystość i miękkość żelaza, lecz żeby miała należytą grubość ścian, tak dla oporu mocy prochu, jako też i bezpieczeństwa strzelającego. Narznięcia czyli gwintów wewnątrz rury pospolicie daje się 6 — 8, a niekiedy 12, lecz odstęp między niemi powinien być równy: głębokość zaś odpowiednia grubości ścian rurki. Nie mają być jednak zbyt głębokie, żeby się między kulą a ścianą rury moc prochu nie zmniejszała. Również, gdy będą płytkie, natenczas kula w czasie wystrzału nie będzie miała biegu wirowego, przez coby dzielność pożądana sztućca zmniejszona została. W dobrej rurce wewnątrz powinny gwinty na jednej linii brać początek, i na tejże kończyć się w kształcie ślimakowatym.

Długość jej może być rozmaita, jednak nie krótsza nad calów 34. W doprowadzeniu rurki sztućca trzeba się starać zmniejszać tarcie kuli w czasie wystrzału, dlatego rówki w kształcie ślimakowatym czyli gwintowym, powinny być między sobą równej odległości i ile można gładkie. Dla przekonania się o dopełnionych warunkach wylać trzeba z cyny lub ołowiu walec długi na parę cali, i szczelnie przypadający do gwintów, tak, aby z jednego końca rurki przeszedł łatwo w drugi, i przeświadczył, że pomienione rowki między sobą są równe, i mają głębokość wszędzie odpowiednią. Można podobnież postąpić z kulą zwyczajną, cokolwiek większą od kalibru rurki. Wbija się ona silnie do rury, tak, aby narznięcia na powierzchni kuli zastosowały się do wewnętrznego gwintu, a później przesuwa się sztęflem wdłuż rury.

Gdy w nowych sztućcach wewnątrz rury gwinty w kształcie pomienionym nie są gładkie, aż po częstych dopiero wystrzałach polepszać się zwykły. Chcąc przyśpieszyć poprawę, należy wylać cylinder cynowy, albo ołowiany, szczelnie wewnątrz rury wchodzący, i na sztęflu go żelaznym osadzić, a później smarując oliwą i posypując miałko tłuczonym proszkiem szmyrglu, wzdłuż z końca w koniec rury przesuwać, póki zupełnie się nie wygładzi.

Dla przycelowania się do przedmiotu zamierzonego mamy na środku rury lub blisko tylnej szruby małe wyrznięcie: które bywają pospolicie składane w kształcie zawiasek tak, żeby się mogły podejmować wedle potrzeby do celowania bliższej lub dalszej mety, i stąd słusznie nazwaćby się mogły celownikami: przez nie albowiem kierujemy okiem na celik przy końcu rury będący, który może być podłużny lub półokrągławy, nie większy jednak nad pomienione wyrznięcie z celowników. Celik robi się z żelaza, ale ze srebra jest lepszy, albowiem w czasie zmroku dla oka wygodniejszy jest nierównie.

Tak urządzona rura sztućca gwintowanego, potrzebuje szruby tylnej, którąby za wszelką bacznością rzemieślnika zrobiona była. Ta, aby szczelnie wpadała do gwintu, dla zabezpieczenia mocy prochu, jako też i uniknienia kalectwa, które często zdarza się z bronią nie opatrzoną, albo źle urządzoną; robi się pospolicie rura grubsza w gnieździe szruby tylnej. Szruba ta przeciw zapałowi jest wypiłowana wewnątrz wklęsło, tak, żeby część naboju prochu pomieścić się w niej mogła. Zapał nie powinien być większy nad przejście ziarn prochu: boby się dzielność wystrzału zmniejszyła. Często albowiem żelazo w zapale, z okazyi wilgoci, której dobrze wewnątrz wytarć trudno, rdzawieć zwykło; dla tego dają powszechnie zapał mosiądzem lub złotem drylowany, który tak prędkiemu rujnowaniu się jak żelazo nie podlega.

(C. d. n.).

Polowanie we Francyi.

Jeden ze współpracowników paryzkiego „Matin'a", opublikował świeżo swój wywiad u dyrektora francuskiego St. Hubert Club (prawdopodobnie u hr. Clary), w celu dowiedzenia się o widokach polowania w przyszłym sezonie, oraz wogóle o stosunkach łowieckich we Francyi.

— Pytasz mnie pan o daty otwarcia polowania? Nic jeszcze pewnego nie wiadomo w tym przedmiocie. Prefekci, zapytywani przez p. Ruau (ministra rolnictwa) co do stanu urodzajów w ich departamentach, nie nadesłali jeszcze swych odpowiedzi do ministeryum rolnictwa i najwcześniej za dni dziewięć będzie dopiero można powiedzieć coś stanowczego w tym przedmiocie.

— Co się tyczy zwierzostanów, wiadomości nie są bardzo pomyślne; osobliwie bać się należy złych zwierzostanów w polach. W czasie lężenia przypadły liczne i bardzo silne burze, szczególnie w prowincyach Brie i Sologne, gdzie lęgi ucierpiały na tem bardzo. Bażanty miały przynajmniej zasłonę z lasów, a zające mogły się schronić na skłonach wzgórz; to też wiadomości co do tych dwu rodzajów zwierzyny są pomyślniejsze. Pierwsze przepiórki, które do nas przybyły, stały się również ofiarą tej niepogody. Na szczęście przybywają jeszcze te, które ocalały od wytępienia na swych zimowych leżach w Egipcie i Tunisie. Ostatnie dni ciepłe zaludniły nasze pola i łąki tą zwierzyną wędrowną i sądzę, że na ogół sezon myśliwski nie będzie najgorszy.

Zapytany, czy ilość myśliwych zwiększa się we Francyi, p. dyrektor odpowiedział:

— Ma się rozumieć. Dziś liczba myśliwych, wykupujących świadectwa myśliwskie, przewyższa 500,000. Oto przykład: w okręgu Sancerre w departamencie Cher, gdzie przed dziesięciu laty liczono 900 pozwoleń na prawo polowania, liczba ich wzrosła dzisiaj do 1,600. Ciekawem jest stwierdzić, że polowanie, zbyt często uważane jako sport wyłącznie arystokratyczny, staje się coraz więcej demokratycznem i, że zamiłowanie tego sportu ogarnia powoli wszystkie warstwy socyalne. Polowanie przysparza rządowi i kasom departamentalnym znakomite zyski w formie nieprzymusowej daniny, której znaczenie będzie wzrastać fatalnie, w miarę zwiększania się liczby myśliwych, jeżeli rekrutowanie tychże nie ulegnie musowemu wstrzymaniu wskutek wytępienia zwierzyny. Z tego podwójnego punktu widzenia polowanie zasługuje na baczną uwagę władzy publicznej, w której interesie leży rozwój jego zarówno z punktu widzenia fisku, jak i ze względów ekonomii kraju.

Konsumcya prochu wzrosła również znakomicie.

W sprawie ceny dzierżaw polowania, p. dyrektor udzielił informacyj następujących:

— Jest rzeczą niewątpliwą, że ceny dzierżaw terenów myśliwskich wzrosły teraz bardzo. Tak np. w prow. Sologne dzierżawa od hektaru wynosi obecnie 34 franki w niektórych okolicach; jest to prawie wysokość ceny, jaką fermier płaci za dzierżawę gruntu. Aby temu zapobiedz, pp. Mugeot (były minister rolnictwa) i Ruau (obecny), stworzyli polowania gminne i syndykatowe. W pierwszym wypadku gmina wydzierżawia, rezerwując działki ziemi, któremi rozporządza, zachowując na nich prawo

pierwszeństwa dla myśliwych osiadłych w gminie, gdy resztę wydzierżawia obcym osobom za opłatą. W drugim wypadku — właściciele łączą swe działki w jedną całość.

W sprawie kłusownictwa p. dyrektor orzekł:

— Niestety, liczba kłusowników wzrasta również. W departamentach, obfitujących w zwierzynę, wypada średnio 80 kłusowników na kanton).* Licząc tylko, że każdy z nich zniszczy 200 sztuk zwierzyny rocznie, wypadnie nam 480,000 sztuk przepadłych dla właścicieli polowań. Oceniając średnią wartość kupiecką sztuki na 2 franki, wypada, że właściciele ziemscy lub dzierżawiący tereny myśliwskie, ponoszą rocznie 960,000 fr. szkody. Ażeby choć w części zapobiedz temu, Towarzystwo nasze, jak również Centralne Towarzystwo myśliwskie — posiada brygadę agentów bezpieczeństwa, których wysyłamy na nasz koszt do miejsc najbardziej zagrożonych. W Sologne postarano się zapobiegać kłusownictwu przez założenie kasy, mającej na celu ściganie sądowe kłusowników Stowarzyszeni płacą 1 *sou* *) od hektaru **) ziemi, a natomiast Towarzystwo ponosi koszta procesów, które ich (udziałowców) gajowi są w stanie wszczynać. Tak samo prowadzimy postępowanie cywilne w imieniu stowarzyszonych. Jeśli kłusownik jest niewypłacalny, ponosimy koszta jego uwięzienia, licząc po 1 franku na dzień i od osoby.

— Co się tyczy ogólnego stanu zwierzyny, to dzików ani nie przybywa, ani nie ubywa. Sarn jest coraz mniej, dzięki licznym złoczyńcom, którzy nawiedzają nasze lasy. Przepiórek i słonek przybyło w ostatnich czasach; przeciwnie stan kuropatw trzyma się w mierze. Wogóle, zwierzyna przyrasta wszędzie tam, gdzie prowadzoną jest prawidłowa gospodarka łowiecka, natomiast zmniejsza się w częściach górzystych. Tak np. w pewnym lesie w dep. Meurthe-et-Moselle, słynnego ze zwierzyny, padało dawniej około 390 zajęcy rocznie; w roku zeszłym padł tam tylko jeden. Pragnęlibyśmy przedewszystkiem, aby zmieniono prawo z 1884 roku, a mianowicie, aby zwierzyna, która dziś nie jest własnością niczyją, „res nullius", należała do właściciela gruntu. Wówczas kłusownictwo byłoby zwykłą kradzieżą i odpowiednio — karanem".

Zemsta pantery.

Ciekawą przygodę, dowodzącą niezwykłej mściwości drapieżnika afrykańskiego, pantery, opowiada podróżnik francuski Mulè w swoich „Wspomnieniach z Kabylii".

U jednego z krajowców, towarzyszących mu w podróży przez pustynię, Mulè zauważył na ciele szerokie i głębokie szramy, zapytał go więc o ich pochodzenie, domyślając się jakiejś krwawej historyi.

Kabyl, Ahmed-ben-Hamulia, który zupełnie dobrze władał językiem francuskim, tym razem w odpowiedzi wydobył z siebie jeden tylko wyraz, w narzeczu kabylskim:

Ar-ilas! (pantera).

W głosie jego było tyle zaciętej nienawiści, że podróżnik koniecznie zapragnął dowiedzieć się szczegółów niezwykłego zapewne zajścia między drapieżcą pustyni a Kabylem.

Gdy karawana zatrzymała się na nocleg i podróżni zasiedli przy ognisku, Kabyl rozpoczął swe opowiadanie, a podróżnik skwapliwie je notował.

Ahmed był namiętnym myśliwym, a że Kabylia obfituje w zwierzynę wszelkiego rodzaju, uprawiał swe rzemiosło przez długi szereg lat. Wiernym towarzyszem i pożytecznym pomocnikiem w łowach był mu ogromny pies, zwany Za, silny i nadzwyczaj odważny. Ahmed, wbrew zwyczajom Kabylów, jak zresztą wszystkich mahometan, nielubiących prócz koni, żadnych zwierząt domowych, przywiązał się niezmiernie do swego psa, który odpłacał mu wiernością i poświęceniem bez granic.

Pewnego razu, na łowach zdala od domu, Ahmed o mało nie padł ofiarą zawodu. W chwili, gdy o zmierzchu już wracał do domu, z zarośli wyskoczyła niespodziewanie pantera i zanim Ahmed zdołał schwycić za broń, krwiożerczy zwierz już siedział mu na karku i zatapiał kły w ramię. Lecz wierny Za czuwał. Na chwilę pozostał w tyle, węsząc ślad jakiegoś zwierzęcia, gdy nagle usłyszał stłumiony okrzyk swego pana. Dzielny pies, nie dbając o nierówne siły, rzucił się na panterę; nie mogąc jednak uchwycić jej wyżej, chwycił zwierza za łapę tak zajadle, że pantera porzuciła ofiarę i kulejąc na trzech nogach, skarżąc się żałosnem skomleniem, zemknęła w zarośla.

Ahmed był ocalony, lecz napad pantery kosztował go parę tygodni ciężkiej choroby z powodu znacznego upływu krwi

Psa swego, swego wybawcę, jeszcze więcej pokochał i tembardziej począł się on niepokoić. Ahmed znał dobrze obyczaje i charakter zwierząt swego kraju. Wiedział, że pantera czyhać będzie na chwilę odpowiednią, aby się zemścić na przyjacielu i towarzyszu człowieka.

Kilkakrotnie zwracano mu uwagę, że pantera krąży wieczorem dokoła wsi. Wiedział, że krwiożercze zwierzę czatuje na jego wiernego Za, miał się więc na baczności i strzegł przed zemstą okrutnego czworonoga siebie i psa swego.

Gdy mu się sprzykrzyła ta długa ostrożność, postanowił wystąpić przeciwko wrogowi czynnie. Z paroma towarzyszami urządził na panterę zasadzkę, lecz i ona miała się na ostrożności i zajść się z nienacka, ani wytropić nie dała.

Wreszcie Ahmed zapomniał powoli o panterze, o której zresztą wieść zaginęła.

Pewnego razu Ahmed siedząc przed namiotem, zajęty był robotą kapelusza kabylskiego.

Wierny Za, położył się opodal i grzejąc się w zachodzącem słońcu, drzemał spokojnie.

Nagle Kabyl doznał niezwykłego uczucia jakiegoś prądu magnetycznego. Zanim zdążył jednak podnieść głowę i oczy, jakaś masa ciemna mignęła przed nim.

To pantera wyskoczyła z za pagórka i zakreśliwszy swem cielskiem olbrzymi łuk w powietrzu, na wysokości trzech metrów spadła, jak kula, na śpiącego psa, i straszliwymi kłami chwyciła biedne zwierzę za kark.

Zanim Ahmed, który na nieszczęście, nie miał przy sobie broni, oprzytomniał, dziki zwierz zarzucił na siebie drgające jeszcze cielsko psa i zniknął za wzgórzem.

Ahmed zaalarmował mieszkańców wioski krzykiem wielkim. Kilkunastu ludzi chwyciło za broń, jaką kto miał pod ręką, i puścili się w pogoń za drapieżnikiem.

Pantera, obarczona ciężarem, nie mogła uciekać szybko. Jeden z Kabylów, należący do najlepszych strzelców, zdążył nawet wystrzelić do czworonożnego rabusia, lecz chybił i pantera zniknęła w gęstwinie puszczy.

Napróżno Ahmed, w towarzystwie uproszonych przyjaciół, przetrząsnął i przeszukał całą okolicę nazajutrz. Znalezione w kilku miejscach kałuże krwi zaschłej i kłaki sierści dowodziły, że pantera pożarła psa.

Odtąd pantera nigdy się już nie pokazała w okolicy wioski rodzinnej Ahmeda. Nasyciwszy swą zemstę, okrutny, lecz ostrożny, zwierz umknął widocznie w dalsze okolice, obawiając się zemsty za zamordowanie przyjaciela Ahmeda.

*) Francya podzielona jest na departamenty, te — na prowincye, a prowincye — na kantony. *(Przyp. Red.)*.

*) Około 2 kopiejek. *(Przyp. Red.)*.

**) Około 2 morgów. *(Przyp Red.)*.

Zwierzyna a samochody.

Niemożna powiedzieć, ażeby samochód cieszył się sympatyą ogółu. Płoszy konie i jest powodem mnóstwa nieszczęśliwych wypadków; przejeżdża ludzi, psy i zwierzęta domowe, które mają nieszczęście znaleźć się na jego drodze; zatruwa powietrze, pozostawiając za sobą ogon wstrętnego kopciu i t. d. Nic dziwnego zatem, że oprócz tych, którzy posługują się nim do jazdy, ogół ludzi patrzy nań krzywo. Ale to wszystko dotyczy tylko stosunku samochodów do ludzi. Dlaczego jednak budzi on — oprócz łatwo zrozumiałej trwogi — uczucie gniewu u wielu zwierząt. Jest to fakt rzeczywisty, a pisma wychodzące w krajach, gdzie samochody są w ogólnem użyciu, cytują bardzo śmieszne i niezbyt przyjemne dla właścicieli przygody, wywołane przez rozwścieczone zwierzęta.

Niedawno w Anglii samochód wyszedł mocno poszwankowany skutkiem napaści zajadłego, rozszalałego buhaja. Ale jeszcze bardziej awanturnicza była walka, jaka zdarzyła się w Ameryce między samochodem a jeleniem, uzbrojonym w potężne rogi. Jeden ze znanych w Bortmernie sportsmenów, p. Fairbanks, wiózł o zmroku żonę i przyjaciół na polowanie na jelenie, gdy nagle na drodze ujrzał, jak mówi: „dwie zielone, płonące kule, zawieszone o 5 stóp nad ziemią“. Bystre oko myśliwego odkryło właściciela tych alarmujących świateł, wspaniałego jelenia, więc zwalniając biegu, zagrał na rogu i skierował światło latarni prosto na głowę zwierzęcia.

Wyzwanie to oburzyło jelenia, który pochyliwszy głowę, puścił się pędem i jednem uderzeniem rogów zmiażdżył szkło latarni. Potem, w drugiem natarciu, podarł na strzępy pneumatykę koła; przy trzecim ataku zahaczył rogiem o futro pani Fairbanks, zdarł z jej ramion, i zaczął zajadle potrząsać niem nad głową. W tem stadyum walki pan Fairbanks uznał, że najroztropniej będzie ustąpić z drogi, i usiłował umknąć, ale nieszczęściem wjechał na drzewo i popsuł samochód. Strach pomyśleć, coby było się stało, gdyby nie to, że jeden z grona myśliwych wydobył z pod siedzenia strzelbę i wpakował kulę w łeb rozjuszonego zwierza.

Niedawno lasek Buloński w Paryżu był widownią improwizowanej walki byków. Pan du Ponilot prowadził po alejach lasku swój nowy czerwonego koloru samochód, kiedy wyskoczył z bocznej drogi buhaj; zbieg z folwarku podmiejskiego, a ujrzawszy nienawistną, płomienistą barwę, pochylił rogi i puścił się w pogoń za samochodem. Maszynista uciekał, ile mu sił starczyło, niezwykły wyścig trwał przez długą chwilę, rogi buhaja dosięgały już prawie samochodu, który z błyskawiczną szybkością dopadł do bramy wjazdowej, gdzie oddział policyantów odegnał buhaja, machając przed nim pelerynami. Po kwadransie uganiania się za zwierzem, został on zapędzony w jakiś zaułek, i właściciel samochodu dopomógł policyantom, celnym strzałem kładąc na miejscu buhaja.

Znana śpiewaczka pani Senger-Bettane, jadąc na samochodzie przez las, ujrzała na drodze ogromnego niedźwiedzia. Ale śpiewaczka była zdolna stawić czoło tak dramatycznemu zjawisku. Puściła samochód całą siłą rozpędu i z niedźwiedzia pozostały tylko „szynki i słonina“, jak się wyraził uprzejmy reporter, opisujący „bohaterski“ czyn śpiewaczki. Lecz nie skończyło się na tem. Właściciele lasu i niedźwiedzia okazali się tak bezczelni, że wytoczyli proces o zabicie zwierzęcia i połamanie słupów na drodze.

Takie to zdarzają się przygody właścicielom samochodów. Ale bywają też i inne, mniej niebezpieczne. Niedawno przed samochodem jadącym z Londynu do Birminghamu, wyskoczył z bocznej drogi zając, i pędził przed maszyną, nie zwalniając biegu. Przez kilka mil angielskich dzielny zajączek prowadził wyścig, ale wreszcie został, pozwalając się wyprzedzić samochodowi. Jadący samochodem zawrócili, by zobaczyć, co się dzieje z zającem, i znaleźli go... nieżywego! Walczył dosłownie do ostatniego tchnienia!

Strzelanie do gołębi.

Warszawa tak się wyludniła, że brak już nietylko licznych kandydatów do strzelania, ale poprostu brak składu sędzioskiego. Wobec tego Komitet ujrzał się zmuszonym zawiesić na sezon letni strzelanie we środy, a pozostawić tylko strzelanie w niedziele od godziny 3-ej po południu.

Nie wyklucza to możności urządzenia strzelania każdego innego dnia, o ile zbierze się 4 lub więcej sportsmenów. Należy tylko zawiadomić o tem biuro Koła Sportowego, które obecnie organizuje się (przy ul. Królewskiej Nr. 23).

O powyższej zmianie programu strzelania letniego Komitet poczynił ogłoszenia w „Kurjerze Warszawskim“, co dało asumpt Redakcji do pomówienia Koła sportowego o „nieposzanowanie święta“. Tymczasem tak nie jest. Koło bardzo się liczy z tem, aby od nabożeństwa ludzi nie odciągać, czego dowodem jest fakt, że w niedziele i święta nie było i niema próbnego strzelania, ani do gołębi, ani wyrzutek od godz. 9-ej rano do 12-ej w południe, t. j. w godzinach nabożeństwa. Strzelanie rozpoczyna się dopiero o godz. 3-ej, gdy rozpoczynają się wszystkie inne zabawy, jak teatry, zabawy ogrodowe i t. p.

„Kurjer Warszawski“ pisze dalej:

„Jak wiadomo, w Polsce nie przyjęte jest odbywanie polowań w niedziele i święta i, co najwyżej, takiego pogwałcenia świąt dopuszczają się „sontagsjägery“ z pośród mieszczuchów, zresztą wcale nie niebezpieczni dla zwierzyny.

Urządzenie więc przez Koło sportowe rzezi gołębiej co niedziela z użyciem do tego zastępu służby — jest co najmniej niewłaściwe“.

Otóż myśliwi dobrze wiedzą, że twierdzenie powyższe jest mylne.

Odbywanie „polowań“ w niedziele i święta nie jest przyjęte, o ile to są polowania zbiorowe, z obławą, naganką i t. p. Przeciwko takim polowaniom w święta i niedziele zawsze powstawaliśmy i powstawać będziemy, gdyż przedewszystkiem zabrania ich Kościół.

Ale Kościół bynajmniej nie zabrania w niedzielę w godzinach po nabożeństwie polować *„sine clamore“*. To znaczy, że jeżeli w ładny dzień nad wieczorkiem wyjdzie ktoś z fuzyjką i pieskiem w pole, i zabije czy parę kaczek, czy kilka kuropatw — to grzechu nie popełni i o nieposzanowanie święta pomawianym być nie może i bynajmniej na miano *sontagsjägera* nie zasługuje. Przeciwnie, najlepsi myśliwi, zamieszkujący stale na wsi, często bardzo w ten sposób używają niedzielnej rozrywki, o ile nie mają pod ręką lepszej.

Ów „zastęp“ służby, zajętej przez Koło przy popołudniowem, niedzielnem strzelaniu do gołębi, składa się ze stróża, chłopca, puszczającego gołębie, i chłopczyka podnoszącego zabite sztuki. „Zastęp“ więc minimalny... i doprawdy, nie było o co wszczynać hałasu, i bałamucić opinii publicznej informacyami nieścisłemi.

Dowiadujemy się, że br. de Puget-Puszet ofiarował nagrodę, w postaci złotego żetonu, na konkurs dubeltowy, który ma być rozegrany w ciągu tegorocznego sezonu jesiennego. Warunki i termin tego konkursu oznaczone zostaną po powrocie do Warszawy bawiącej na letnich wczasach Komisyi strzeleckiej.

Z placu.

Dnia 15 lipca.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Pierwszemu 75%. Wpis 5 rb. Hr. H. Plater 24 m. 5/5.

Przyjmowali udział pp. Henryk Lilpop i Stanisław Lilpop.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Pierwszemu 75%. Wpis 5 rb. P. Henryk Lilpop 27 m. 9/9.

Przyjmowali udział pp. hr. H. Plater i St. Lilpop.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Pierwszemu 75%. Wpis 5 rb. P. St. Lilpop 27½ m. 5/5.

Przyjmowali udział pp. hr. H. Plater i H. Lilpop.

Dnia 19 lipca.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Pierwszemu 75%. Wpis 5 rb. P. St. Zaborowski 26 m. 6/6.

Przyjmowali udział pp M. Świeżawski i hr. H. Plater.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%. Wpis 5 rb.

Pp. dr. Korybut-Daszkiewicz 26 m. 111101 . . 5/6.
dr. St. Zaborowski 26 m. 111010 . . 4/6.

Przyjmowali udział pp. Pleszczyński, hr. H. Plater, M. Świeżawski, Jasiński.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%. Wpis 5 rb.

Pp. St. Lilpop 27½ m. 11111111 . . 8/8.
hr. Józef Plater 26 m. 11111110 . . . 7/8.

Przyjmowali udział pp. St. Zaborowski, M. Świeżawski, hr. H. Plater, Korybut-Daszkiewicz, Pleszczyński i Jasiński,

Pula (handicap) na 5 gołębi. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%. Wpis 5 rb.

Pp. T. Jankowski 26 m. 1111111. . . . . 7/7.
St. Zaborowski 26 m. 111111001111 . . 10/12.
St. Lilpop 27½ m. 111111001110 . . 9/12.

Przyjmowali udział pp. Jasiński, hr. J. Plater, hr. H. Plater, M. Świeżawski, Korybut-Daszkiewicz i Pleszczyński.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%. Wpis 10 rub.

Pp. St. Lilpop 27½ m. 7/7, Jasiński 26 m. 12/13, St. Zaborowski 26 m. 11/13.

Przyjmowali udział pp. T. Jankowski, hr. H. Plater, hr. J. Plater i M. Świeżawski.

Pula dubletowa na 3 dublety 24 m. Pierwszemu 75%. Wpis 10 rb.

Pp. hr. Józef Plater 0/0 1/1 0/0 1/1.

Przyjmowali udział pp. hr. H. Plater, Jasiński, T. Jankowski i St. Lilpop.

PRAWIDŁA

Konkursowej próby wyżłów (field-trial), urządzonej przez Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa w 1908 roku.

1. Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa urządza w bieżącym 1908 roku, tytułem próby i dla zachęty posiadaczy wyżłów, *próby polowe (field-trial)* z nagrodami dla najlepszych i najlepiej ułożonych wyżłów wszelkich ras i pochodzenia.

2. Do konkursu mogą być zapisane wyżły wszelkich ras, przyczem podane być winny: wiek, pochodzenie i pole psa.

3. Zapisy przyjmowane będą w Kancelaryi Towarzystwa od daty ogłoszenia konkursu do d. 10-go września włącznie. Zapisujący wnoszą tytułem wpisowego po rb. 3 od wyżła. Konkurs odbędzie się w dniu 11-ym września 1908 r.

4. Psy chore i suki grzejące się do konkursu dopuszczone nie będą. Na punkcie zbornym w dniu konkursu i o godzinie, wskazanej przez Kancelaryę, psy winny się znajdować w obrożach i na łańcuszkach. Sędziowie będą kwalifikowali psy na miejscu, przyczem psy wyraźnie nie rasowe mogą być przez nich odrzucone. Kolej próby psów ustanawia się przez losowanie. Spóźniający się pies będzie próbowany na końcu.

5. Psy próbowane będą na kuropatwach. Próby odbywać się będą w okolicach Warszawy.

6. Orzeczenie sędziów nie podlega apelacyi.

7. Rezultat ogłoszony będzie na drugi dzień w pismach.

8. Właściciel sam (lub przez strzelca) prowadzi psa, ściśle stosując się do wymagań i wskazówek sędziów.

NAGRODY.

Klasa I. Psy angielskie.

Nagroda I. Wielki żeton złoty emaliowany (lub gotowizną 60 rb.).
Nagroda II. Żeton złoty (lub gotowizną 40 rb.).
Nagroda III. Żeton srebrny (lub gotowizną 25 rb.).

Klasa II. Psy niemieckie.

Nagroda I. Wielki żeton złoty emaliowany (lub gotowizną 50 rb.).
Nagroda II. Żeton złoty (lub gotowizną 30 rb.).
Nagroda III. Żeton srebrny (lub gotowizną 20 rb.).

Klasa III. Psy niekwalifikujące się do I lub II klasy.

Nagroda I. Wielki żeton srebrny emaliowany (lub gotowizną 20 rb.).
Nagroda II. Żeton srebrny (lub gotowizną 10 rb.).

Nadto sędziowie mogą przyznawać *Listy Pochwalne* w ilości nieograniczonej.

Sędziowie mają również możność wydawania nagród treserom, w wysokości od 10 do 20 rub. według własnego uznania.

Drobiazgi myśliwskie.

Wiewiórki. W lasach gub. płockiej zauważono w r. b. więcej niż zwykle młodych wiewiórek. Wiewiórki niszczą bardzo wiele jaj ptaków, lęgnących się w gniazdach na drzewach i dlatego zasługują na staranne tępienie.

Przewóz broni. Wielu mieszkańców w pasie pogranicznym posiadając pozwolenie na noszenie broni, często w różnych sprawach udaje się za granicę z bronią; po powrocie władze celne nie przepuszczają broni. Obecnie departament celny zawiadomił tutejsze komory celne, że po porozumieniu się z departamentem policyi, uznano za możebne, aby komory celne wydawały osobom, udającym się za granicę z bronią, świadectwa na powrotny przewóz broni, ale nie więcej, jak jednej strzelby lub rewolweru na osobę.

Środek przeciw ukąszeniu żmii, bardzo łatwy, a zarazem bardzo skuteczny, odkryto niedawno przypadkowo w Afryce. Jest to środek nader ważny dla myśliwych, zarówno jak i dla psów. Bierze się roztwór *cali hipermanganicum* (o zabarwieniu wina czerwonego, około 15 ziarnek na 1 litr wody). Okłady z tego roztworu są tak skuteczne, że nawet największa nabrzmiałość znika drugiego dnia zupełnie. Przy dużej gorączce, zmienia się okłady co 10 minut, poczem ustępuje ona prędko. Ponieważ środek to zarazem dezynfekcyjny i bardzo tani, przeto powinien się znajdować w każdym domu wiejskim.

Lasy dziewicze. Prof. Ozierow, który w „Russk. Słowie" zamieszcza systematycznie artykuły statystyczne z różnych dziedzin życia ekonomicznego i kulturalnego Rosyi, w jednym z ostatnich numerów gazety podaje szereg ciekawych danych o lasach w obrębie Rosyi europejskiej i azyatyckiej.

Z tablicy i załączonego dyagramu wynika, że Rosya posiada 544 milionów dziesięcin, a mianowicie: w okręgu jakuckim 200 m., w kraju nadamurskim 107 m., w Rosyi azyatyckiej (prócz wymienionych już prowincyi) 126 m.; dalej na Kaukazie 4.5 m.; w gub. archangielskiej, wołogodzkiej, wiackiej, ołonieckiej i permskiej — 91.8 m.

Z tej olbrzymiej przestrzeni lasów tylko 11,387,000 dziesięcin doczekało się jakiegokolwiek urządzenia (głównie w Rosyi europejskiej), a 30.5 mil. dziesięcin jest jako tako zbadanych; reszta czyli przeszło 500 milionów stanowią lasy zupełnie niezbadane i dziewicze.

Ileż to tam różnego zwierza być musi?!

Nagrody za tępienie drapieżników. Związek niemieckich stowarzyszeń zwolenników gołębi pocztowych wyznaczył na r. b. 3,500 marek na nagrody za tępienie i łowienie sokołów wędrownych, jastrzębi — kuropatwiarzy i samic krogulców. Z sumy tej 2,900 marek idzie na poszczególne nagrody za każdego drapieżnika, reszta ześ dla tych strzelców, którzy dostarczają najwięcej drapieżników.

W roku zeszłym dostarczono związkowi 3,407 par nóg drapieżników (103 pary sokołów, 1,152 jastrzębi, oraz 2,152 krogulców).

Przecięciowo zapłacono po 82 fenigów za sztukę, a za sokoła po 1,82 marki. Nagrody dodatkowe otrzymali ci, którzy dostarczyli po przeszło 20 sztuk; nagrody dodatkowe wynosiły od 10 do 40 marek, stosownie do liczby drapieżników jednego strzelca.

W sprawie instytutu myśliwskiego. Pisma niemieckie podnoszą konieczność założenia instytutu myśliwskiego. Zagadnienia związane z myślistwem — bez względu na to, że stanowi obecnie ważną gałąź przemysłu — traktowane są po macoszemu. W instytutach zoologicznych zajmują się niemi o tyle tylko, o ile mają one co wspólnego z badaniami przyrodniczemi. Tymczasem nawet czysto myśliwskie sprawy bywają często bardzo interesujące, że wspomnimy tu o badaniach w kwestyi rozwoju jelenich rogów, przyczyn ich ułomności, przyczyn obgryzania drzew i t. p. Któryż z instytutów — czy to zoologicznych, czy fizyologicznych — objaśni nas, kiedy nabiera jeleń wapnia, w ilości dostatecznej do zbudowania kapitalnych rogów i w jakiej mięśni organizmu jego znajduje się ten pierwiastek?

Z drugiej zaś strony, gdzie nauczą nas, jakie pożywienie najlepszem jest dla różnego rodzaju zwierzyny? Wszystko, cokolwiek w tym względzie wiemy, zawdzięczamy tylko podawanym z ust do ust wiadomościom, często na fałszywych założeniach opartym.

Wszystkie te względy przemawiają za utworzeniem uczelni, któraby specyalnie, naukowo traktowała sprawy myśliwskie i postawiła je na tym poziomie wiedzy, na jaki, ze względu na swe znaczenie w ogólno-narodowej gospodarce, zasługuje.

Wilki w Alzacyi. Rzadki, lecz niepożądany gość zjawił się w Alzacyi. Zauważono tam bowiem jeszcze w końcu zimy ślady wilków, które dotychczas wyrządzają znaczne szkody w zwierzynie. W Alzacyi górnej w pobliżu granicy francuskiej stwierdzono obecność pary wilków, suki i psa. Wilki zagnieździły się w czasie ubiegłej zimy, bardzo mroźnej i obfitej w śniegi w tamtych stronach. Właściciele rewirów usiłują wytępić drapieżniki za pomocą strychniny. W pobliżu Milhuzy urządzono już kilka powłok, ale bezskutecznie.

Szwajcarskie Towarzystwa Kinologiczne. Szwajcarski klub zwolenników wyżłów liczy obecnie 90 członków. Klub wydaje czasopismo miesięczne p. t. „Diana", redagowane przez sekretarza klubu. — Szwajcarskie Towarzystwo Kinologiczne, do którego należy 19 klubów specyalnych, a które liczy 850 członków, obchodziło niedawno w Zurychu jubileusz 25-letniego istnienia. Szwajcarski związek field trial'ow, urządził na wiosnę pierwszy raz próbę polową psów, wyłącznie krótko-włosych, niemieckich. Sądzono podług systemu punktowego.

Kogut mordercą. W Louisburgu w Ameryce kogut zabił 15-miesięczne dziecko. Matka pozostawiła dziecko na dworze, ogromny kogut spostrzegł je i dziobem tak długo uderzał dziecko w głowę, aż pozbawił je życia.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" **J. O.** *(C. d.).*

Sowa.

Bodaj tak sowa w dudy grała, jak to prawda.
Czy sowę o pień, czy pień o sowę: dosyć że sowa nie żyje.
Jaka głowa, taka sowa.
Jak sowa huczy, tak dzieci uczy.
Każda sowa głupia w dzień.
Niemasz gorszej rzeczy, jak kiedy sowa zjastrzębieje.
Poznać sowę po głosie.
Sowa huczy, choć jej nikt nie uczy.
Sowa na dachu kwili: komuś umrzeć po chwili.
Sowa skubie mech, bodaj kowal zdechł.
Sowa sowę rodzi.
Sowa ze krza, a dwie w kierz.
Sowa z orłem nigdy się nie zrówna.
Z sowy nie zrobisz sokoła.
Ma sowy w głowie.
Z pustej kleci sowa wyleci.
Kracze, jak wrony na sowę.
To nie sztuka zabić kruka, ale sowę trafić w głowę.
Miło, jak sowie w dzień.
Nadął się, jak sowa.
Na orłowem gnieździe zorleje i sowa.
Orła zmorzonego lada sowa gniecie.
Orłowi południe, noc sowie przystoi.
Orzeł w słońce rad patrzy, sokół w górę leci, sowa po kątach się tłucze.
Orzeł zdrożny sowie.
Wszystko to fraszki te małe ptaszki, ale sowa to ptak.
Siedzi na stołku, jak sowa na kołku.
Gdzie lata sokół, nie latać tam sowie.
Mówiły jaskółki, że nie dobre współki; a sowa mówi sowie: starajmy się obie.
Stroni, jak sowa od słońca.
Tyle widzi, co sowa we dnie.
Nie wylęgnie wilk zająca, ale wilka; nie urodzi sowa sokoła, ale sowę.
Wrona sowie nie obrona.
Wygląda, jak leśna sowa.
Zlatują się jak ptacy, gdy sowę w dzień zoczą.
Chroni się, jak sowa światła.

Sójka.

Złapał Kuba sójkę.
Rzegoce, jak sójka.
Stroi się, jak sójka do cieplic.
Śpiewa drozd, a sójka świegoce, nie jednako śpiewa syty z tym, któremu się jeść chce.
Szczebiocą, by sójki.
Wybiera się, jak sójka za morze.

Sroka.

Dwie sroki za jeden ogon złapać.
I sroka gniazda swego nie kala.
Jak jedna sroka ogon zadrze, to wszystkie za nią.
Każda sroczka swój ogon chwali.
Każda sroka pstra.
Kto chwyta dwie sroki za ogon, żadnej nie złapie.
Kto trzyma dwie sroki za ogon, to mu jedna ucieknie.
Mówiła sroka wronie: nie siadaj mi na ogonie.

(C. d. n.).

Treść Nr. 15 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego“** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego“** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego“** adresować należy: **Smolna 40, w Warszawie.**

O G Ł O S Z E N I A.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk **„Drukarni Polskiej“ (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.**